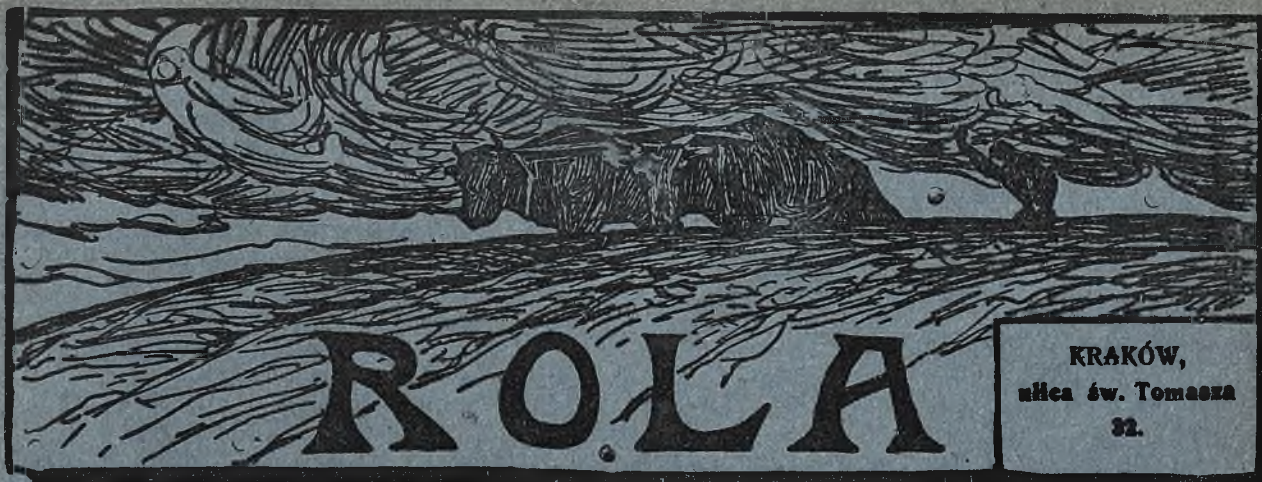
Numer 41. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 9 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przed karczmą biło się dwóch pijaków. Przymieszał się trzeci i chciał ich rozbroić, lecz przytem oberwał należycie i odniósł ciężką ranę w głowie. Gdy następującego dnia lekarz ranę oglądał, rzekł do niego: Przedewszystkiem muszę się przekonać, jeżeli nie jest uszkodzony mózg.

— Ej, daremne byłoby szukanie pana doktora, bo mózgu nie mam w głowie.

Jak to może być? — pyta się lekarz; a na to raniony:

— Panie doktorze, gdybym miał mózg, tobym miał tyle rozumu, żebym się w bijatykę nie był mieszał.



Przy ślubie.

Ksiądz pyta się młodego pana klęczącego przed ołtarzem obok młodej pani: „Franciszku, czy masz dobrą i nie przymuszoną wolę...“ Wtem przerywa mu młoda pani: „Ach księżoszku, czy on chce, czy nie chce, o to nie chodzi, on może być rad, że ja go sobie wezmę, bo on nie ma nic, a ja mam 400 złotych, krowę i za łaską dwoje prosiątek“.

Pewien pan ustanowił w dobrach swoich nowego komisarza. Po niejakim czasie zwiedzając je, pytał się wieśniaków, jak się z nimi tenże komisarz obchodzi.

— Zwyczajnie — rzecze z nich jeden — zawsze nowe buty cisną!

— A więc dawniejsze nie cisnęły? — zapyta znowu pan.

— Cisnęły także — odpowiedział wieśniak — ale jakeśmy je wysmarowali, zaraz lepiej nam było.



Słuszna uwaga.

Janie, dlaczego nie wyczyściłeś mi butów? Nawet moja narzeczona czyniła mi zarzuty, że chodzę zabłocony.

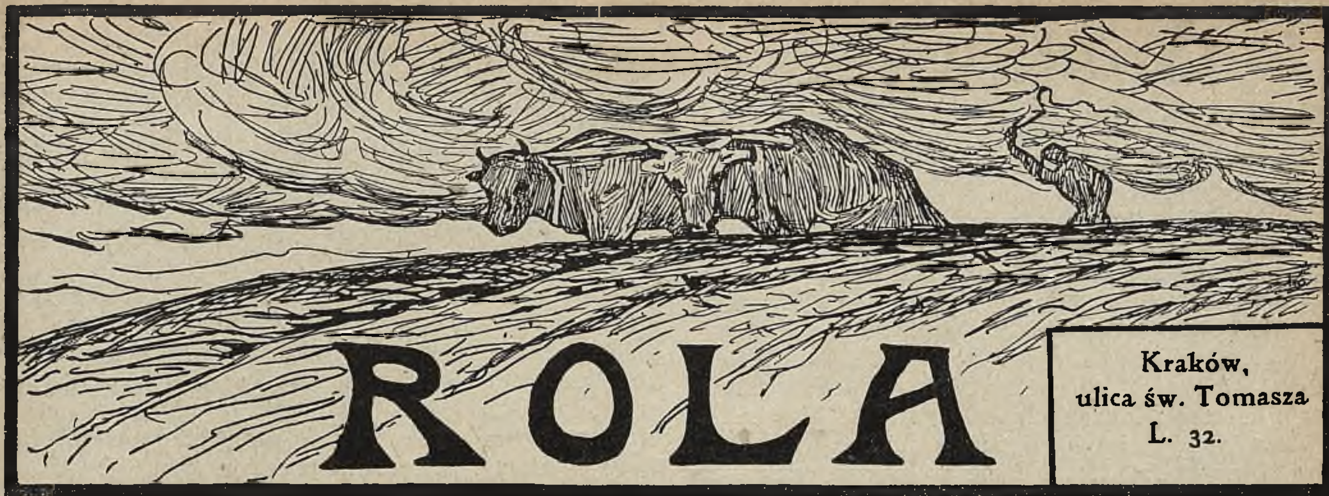
Jan (mrucząc): A mówią ludzie, że miłość jest ślepa.



— Powiedz mi Icek — pyta Sara — jak się mam przystroić na bal maskowy, aby mię nikt nie poznał?

— Ny — rzekł Icek — jeno się umyj i wyczesz, a nikt cię nie pozna z pewnością.

Numer 41. Rok X. Kraków, dnia 9 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Czwarta podróż Pana Prezydenta.



W dniach 30 września i 1 października b. r. bawił Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacy Mościcki, w Krakowie. Na dworcu kolejowym i w mieście, na Wawelu i w teatrze, słowem wszędzie, gdzie się ukazał, witały Go liczne rzesze mieszkańców szczerze i z radością, jako Najwyższego Dostojnika państwa. Nie było tu stronnictw politycznych, nie było lewicy, ani prawicy, nie było stanów, ni zawodów —— był jeno jeden Naród wielki ożywiony jednem uczuciem ,uczuciem miłości ku Temu, który reprezentował najdroższą po Bogu rzecz, to jest Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską. Nawet wyznanie nie odgrywało tu roli, bo obok najwyższego dostojnika Kościoła katolickiego, księcia Metropolity Sapiehy, wypowiedzieli słowa czci, hołdu i powitania przedstawiciele gminy żydowskiej, a Pan Prezydent również przyjmował te oznaki radości równo od wszystkich, bogatych i biednych, uczonych i prostaczków, boć wiedział, że Naród w Jego Osobie czci i pozdrawia Ojczyznę swoją.

Pan Prezydent od chwili swego wyboru odbywa obecnie czwartą podróż urzędową po ziemi polskiej.

Pierwsza podróż, jaką po swoim obiorze przedsięwziął Pan Prezydent Mościcki, zawiodła Go do Wielkopolski, gdzie stanął jako „Władny tej ziemi gospodarz“ na cesarskim zamku Hohenzollernów w Poznaniu, aby zadokumentować, że wszelkie prawo zaborców do najstarszej dzielnicy państwa rozpierzchło się, jak sen z bajki. Pobyt ówczesny, mimo, że nie było to jego zgóry zamierzonym celem, zamienił się w odruchową manifestację polskości tej ziemi. Potęga i wyrazistość tej manifestacji wywołała wówczas ogromne wrażenie po drugiej stronie słupów granicznych, po stronie niemieckiej.

Następny swój wyjazd skierował Prezydent Rzeczypospolitej do stolicy zbratanego niegdyś z Polską węzłami Unji Wielkiego Księstwa Litewskiego, aby wziąć udział w poświęceniu świętego obrazu Ostrobramskiego, stanowiącego symbol polskości ziem kresowych. I ta podróż była manifestacją, bo podkreśliła polski charakter Wilna i okolicy, bo dała ujście uczuciu przywiązania do Polski, wyrażonemu przez ludność województw wschodnich.

Trzecia podróż, przedsięwzięta w okresie najwyższego może napięcia kampanji propagandowej przeciwko „polskiemu korytarzowi“, stanowiła świadectwo czujności rządu wobec niebezpieczeństw, grożących naszemu stanowi posiadania nad Bałtykiem. Podczas pobytu w Gdyni Prezydent Mościcki mieszkał na morzu, na pokładzie polskiego statku pasażerskiego. I to była wymowna manifestacja, ostrzegająca wrogów, że Polska pewną nogą stoi na wybrzeżu morskiem i wydrzeć go sobie nie da.

Czwarty wyjazd Pana Prezydenta składał się z dwóch etapów. Pierwszym był dwudniowy pobyt w Krakowie, w kilkuwiekowej stolicy Polski w czasach największego rozkwitu naszej Ojczyzny. Drugim etapem był wyjazd na Górny Śląsk, na ten skrawek polskiej ziemi, przed wiekami oderwany przez Niemców od naszej Ojczyzny, setki lat gnębiony i wynaradawiany, który przecież swej polskości nie zatracił, ale zadokumentował ją w trzykrotnych powstaniach, obficie krwią najlepszych synów Ojczyzny naszej zroszonych.

I tu witano Dostojnego Gościa niemniej serdecznie. Zewsząd odzywały się burzliwe okrzyki na Jego cześć, a radość przepełniała serca i dusze. A garść Niemców z zazdrością ale i podziwem patrzała na te objawy uczuć najsilniejszych i czuła, że tej odzyskanej ziemi po tylu wiekach żadna siła wydrzeć nam nie zdoła.

———

Gosława.

(Legenda.)

Na wzgórzu drzemiącem wśród dzikiej głuchej puszczy, samotna stała chata, niezgrabnie i nieforemnie z potężnych zbudowana kłód, pokryta brzozowemi gałęźmi i leśnem zielskiem. Miała jedno maleńkie bezszybne okienko, którem wiatr dmuchał do wnętrza jedynej izby, którą zdobiły wiszące po ścianach łuki, topory kamienne, dzidy, ogromne rogi strasznych królów puszczy i t. p. ozdoby mieszkania pierwotnego myślliwca. W jednym kącie leżały stosy zwierzęcych skór, służących za legowisko dla ludzi. Obok drzwi, na glinianem wzniesieniu trzaskał ogień, z którego rozchodził się po izbie aromatyczny zapach pieczeni.

Cudnej urody i pięknych kształtów dziewica krzątała się żwawo około ogniska, rozwodząc tęskną, jak życie puszczy piosenkę. Złociste jej włosów kaskady bujnymi pierścieniami okrążały smukłą, gibką jej kibić. Niebieskie oczęta zwracały się chwilami ku drzwiom i coraz częściej, z coraz większą tęsknotą oczekiwania — nadsłuchiwała czyichś kroków, czyjegoś serca bicia — które biło dla niej.

Słońce już dawno zaszło na widnokręgu zasnutym czarnymi borami, łuna wieczorna już zbladła, zczerniała, gwiazdy gdzieniegdzie przetykały czarne tło nieba, mrok gęsty kołysał się w bezmiernych przestrzeniach nad posępną głuszą borów, napełniającą dziwną tęsknicą serce oczekujące powrotu z polowania — ojca i kochanka.

Była to Gosława, jedyna córka starego Lasomira, który właśnie stanął w drzwiach chaty i z dziwnym wyrazem smutku na ogorzałej twarzy, rzucił się milczący na twarde ze skór posłanie. Twarz Lasomira wykrzywiła się strasznie, a z piersi wydobywał się chwilami wzdych boleści. Zaciskał olbrzymie pięści i jakby grożąc komuś niewidzialnemu, wyrzucał z piersi niezrozumiałe jakieś wyrazy. Gosława, jakby w przeczuciu strasznego jakiegoś zajścia, ujęta troską o ukochanego swego Śnieżyka, który jeszcze z borów nie powrócił — zwróciła do ojca, błagalnym smutkiem przepełnione źrenice i rzekła:

— Ojcze ukochany! Czemu dziś taki smutek zasępił twe czoło? Może nieszczęście jakie spotkało cię w borach? Wyznaj mi ojcze!

— Dziecię moje, — rzekł smutny ojciec — nie smuć się smutkiem moim, ani mię pytaj o przyczynę tegoż!

— Ojcze najdroższy — wołała błagalnym głosem — nie kryj przed kochającą cię córką tajemnicy, lecz wyznaj, a może zdołam ulżyć twej boleści! Ach, ojcze! Gdzież mój jedyny Śnieżyk?...

Lasomir milczał, tylko jakby rażony piorunem, zaciskał pięści coraz groźniej i chodząc wielkimi krokami po izbie — rozglądał się niespokojnie dokoła, jakby oczekiwał nadejścia samych szatanów. Widząc to Gosława, rzuciła się na szyję ojca i błagała ze łzami:

— Na pamięć matki błagam cię, ojcze, uspokój się i wyznaj mi boleść swoją — a bogi nas pocieszą!

Starzec uspokoił się nieco i usiadł na skórach niedźwiedzich, a Gosława z niespokojnem sercem wsłuchiwała się w głuchy szum borów i w każdym szeleście liścia słyszała bolesny jęk Śnieżyka: Gosławo, Gosławo!... Serce jej biło jak młotem i chciałaby lecieć w bory i z całej piersi krzyczeć ku czarnym głębiom: Śnieżyku mój, Śnieżyku!

Ciemno było dokoła, las szumiał w górze, wiatr wył gdzieś daleko w borach, w chacie ogień dogasał, starzec wzdychał. Nagle ozwał się drżącym głosem Lasomir:

— Słuchaj Gosławo — rzekł — straszny Duch borów wielkiej od nas zażądał ofiary... W tem zamilkł; głos zamarł mu w piersiach i bezsilny upadł na twarde łoże. Gosława jakby gromem rażona padła u stóp ojca bez przytomności.

Nastała chwila milczenia. Bory się tylko kołysały dokoła. Gosława oprzytomniała. Przyszły jej na myśl dziecięce lata: pieszczoty matki, chwile jasne, spokojne. Pamiętała pierwsze spotkanie ze Śnieżykiem, który z dalekich gdzieś stron przyniesiony niemowlęciem, w orlim wychował się gnieździe; potem znaleziony w czasie polowania przez jej ojca — wyrósł w tej chacie przy jej boku. Pamięta go od tylu lat powracającego z upolowaną zwierzyną, uśmiechniętego ciszą leśną. Słyszy pieśń jego tęskną, płynącą z wiatrem puszczy w dal i czuje go obok siebie ściskającego jej dłoń w serdecznem upojeniu. Łzy zastąpił jej radosny uśmiech, a lica zapłonęły jej zorzą. Marzyła.

Już było późno w noc.

W chacie Lasomira panowała cisza, przerywana cichymi westchnieniami Gosławy. Nad dogasającem ogniskiem unosił się niebieskawy płomyk, oświetlając pogrążonego w myślach starca i rozmarzoną dziewicę. Na dworze huczały puszczy oceany bezkresne, rozlegały się głuche wycia wilków i hukanie puszczyków. Gęste atramentowe chmury przewalały się po ołowianem niebie jak cielska fantastycznych potworów. — Nagle zerwały się potężne wichry i waląc z żywiołową mocą w ściany samotnej chaty i gwiżdżąc przeciągle śród szpar — trzęsły jej dachem, jakby chciały tę ubogą szopę zmieść z powierzchni. Serce Gosławy biło gwałtownie.

Nagle ustały wichry i zapukał ktoś do drzwi. Gosława drgnęła z radości, myśląc, że powraca ukochany jej Śnieżyk. Wtem drzwi się otwarły a Gosława zbladła z przestrachu. Do chaty wszedł nieznajomy, olbrzymiego wzrostu mężczyzna w złociste szaty ubrany i lśniący cały, jak ośnieżone drzewo mroźną nocą w blaskach księżyca.

— Kto jesteś człowieku? — zagadnął z niepokojem starzec.

— Jestem Sokół, jeden z sług potężnego Ducha borów — odrzekł dumnie nieznajomy — i przychodzę oznajmić ci, Lasomirze wolę mego pana, który nakazuje ci, abyś córkę twą Gosławę oddał mu natychmiast za żonę!

— Biada nam, biada, bogi nas karzą! krzyknął zrozpaczony Lasomir. Gosława padła zemdlona na szyję ojca.

— Czy zrozumiałeś nieugiętą wolę Ducha borów? — krzyknął gniewnie Sokół.

Lasomir, podtrzymując zemdlałą córkę, machnął ręką w rozterce.

— O nierozsądni! Rozpacz tu daremna! Gosława odda dobrowolnie rękę memu panu i będzie szczęśliwą wszechwładną panią. Służyć jej będą liczne hufce sług, bory, zwierz leśny, ptactwo i wichry. Ty, ojcze, szczęśliw będziesz, patrząc na szczęście swej córki, czerpiącej ze skarbca wszelkiej rozkoszy. Zaś wrazie oporu Duch borów wyrwie ci córkę przemocą i srodze wasz upór ukarze... Zrozumiałaś Gosławo? Czy oddasz rękę i serce twoje memu panu?

— Nigdy! przenigdy! — krzyknęła gniewem uniesiona Gosława. — Nigdy nie zgodzę się na podłe żądanie twego pana! Nigdy żoną strasznego Ducha bo-

rów nie będę! Serce moje kocha innego; kocha go całą mocą szczerej, czystej miłości! Z nim tylko pójdę w życie, ze Śnieżykiem swoim, który jest dla mnie droższym nad wszystkie bogactwa twego strasznego pana! Serca nasze złączone łańcuchem miłości na wieki. Jego życie — będzie życiem mojem, a moje życiem jego! Raczej śmierć — niż zdrada! Precz, precz!...

— Szalona, niegodziwa! zasłużyłaś na karę, na zemstę! O głupia wołał jak wściekły Sokół — Śnieżyk już nigdy twoim nie będzie — nigdy! Mocarne słowo mego pana zaklęło go w zimnego smereka w chwili, gdy powracał do ciebie. Twój Śnieżyk — smerek płacze w tej chwili w głębokim borze. Wichry smagają i rwią jego włosy zamienione w gałęzie leśnego drzewa.

Gosława krzyknęła z bólu, jak ptaszyna raniona śmiertelnie i bez zmysłów padła na kolana stroskanego ojca, jęcząc żałośnie. Drżące i blade jej usta rzucały tylko w stronę Sokoła: Nigdy, nigdy!

— Precz, precz Sokole! Nigdy nie spełnią się podłe zamiary twego pana — wyrzekł z boleścią złamanym głosem Lasomir — gotowiśmy na wszystko. — Precz!

— O szaleni! — ryknął szatańskim śmiechem Sokół — gińcie w waszym głupim uporze!

Wtem zerwały się wichry i straszny poseł zniknął w czeluściach czarnej nocy.

Po chwili głębokiej ciszy rozszalał się nad borami gwałtowny wicher, kołysząc całą puszczą i pędząc chmur tumany. Krwawa błyskawica rozdarła gęste ciemności i zamigotał nad borami piorun aż zadrżała cała chata i w tej chwili rozwarła się ze strasznym łoskotem powała chaty. Do wnętrza wpadł z piekielnym rykiem straszliwy potwór, porwał zemdloną Gosławę i poniósł na skrzydłach wichury do swego zamku. Tam ubraną w najkosztowniejsze szaty Gosławę otoczył niesłychanym przepychem swych bogactw. Duch borów wskazując jej na cudowny tron lśniący od fantastycznych klejnotów, rzekł:

— Z tego tronu panować będziesz całemu memu państwu i opływać będziesz we wszystko, czego dusza twoja zapragnie — lecz pod warunkiem, że będziesz mi wierną!

Lecz przepych ów nie zachwycał zbolałego serca Gosławy, tęskniącej ciągle do cichej w borach chatki, do ojca i Śnieżyka, a każde słowo Ducha borów budziło tylko w jej sercu boleść wielką i żal. Tak uwięziona Gosława więdła z dniem każdym w tęsknocie i smutku. Dość było jej sięgnąć ręką i czerpać z otwartego skarbca rozkoszy, lecz Gosława ze złamaną duszą, gardząc wszystkiem — dożyła chwili, kiedy pod nieobecność Ducha borów zdołała umknąć z zamku.

Jak ptaszyna wypuszczona z klatki, poleciała Gosława z bijącem radością sercem hen w bory głębokie, skąd dochodził jej duszy tęskny jakiś jęk i żałosny wzdych, w którym rozeznała głos najdroższego swego Śnieżyka w zaklętych stojącego kształtach. I tak pędząc w kierunku jęku już, już z wyciągniętemi przed siebie rękoma, z rozwianemi włosami dobiegała celu; już zobaczyła płaczącego swego Śnieżyka — smereka i już dotykała drżącą z radości dłonią zimne ciało kochanka; już łza szczęścia błysła w jej oku, już wykrzyknęła: O mój najdroższy, tyś tu? Ja wierna tobie idę cię uściskać — o Śnieżyku mój! — gdy nagle straszny i mściwy Duch borów rzucił słowo zaklęcia... i oto biedna, rozpłakana z radości, uszczęśliwiona, wierna Gosława w tej chwili zamieniła się w białą płaczącą brzozę. I tuż, obok ukochanej istoty — smereka, zaszumiała smutno gałęziami białej brzózki — wierna Gosława. Rozwianemi na wiatr srebrnemi splotami swych włosów, objęła miłośnie płacząca brzoza zczerniałe kochanka ciało, oblewając je swemi łezkami... Rada i szczęśliwa, że może pieścić się widokiem kochanego — nuciła mu serdeczne swoje piosenki, a on wzamian huczał jej nad głową pieśń duszy swojej i całując się wzajemnie, płakali we wspólnem gałęzi swych połączeniu. — I stały tak długo, skarżąc się słońcu i gwiazdom na swoje losy. Wiatr szarpał ich głowy, smagały deszcze, warzył mróz, piekło słońce. Lecz smerek i brzoza pomimo cierpień zadawanych im przez naturę, czuły się szczęśliwe we wspólnem stojące ukochaniu...

A kiedy zżółkły liść brzozy, kryjący w sobie duszę Gosławy zerwał jesienny wicher i poniósł go daleko w bory, gdzie ongi stała jej chata — zastał na jej miejscu szerokie szumiące jezioro, nad którem mgły srebrne z wiatrem się kołysały. Zwiędłe, białych lilij kwiaty pływały lekko po mętnej toni, a wśród zeschłych sitowisk rosnących po brzegach wył i melancholijnie zawodził jesienny wicher, wydzwaniając tęskne swoje dumy.

Oto są losy wiernej Gosławy.

Wojciech Byczek.



Co będzie za 40 miljonów lat?

Profesor Uniwersytetu w Cambridge, Haldane, ogłosił w jednym z naukowych angielskich czasopism swoje przypuszczenia i przepowiednie o tem, jak ziemia będzie wyglądała za czterdzieści miljonów lat.

A więc: za czterdzieści miljonów lat na ziemi nic nie będzie. Wszyscy mieszkańcy ziemi przeniosą się na bliżej słońca położoną planetę Wenus. Haldane uzasadnia swoje przypuszczenia naukowo. Już za pięć miljonów lat ludzkość osiągnie najwyższy stopień dobrobytu. W „najbliższej przyszłości“, to jest za trzy tysiące lat, technika stanie na tak wysokim poziomie, że wszystkie, najbardziej nawet nieprawdopodobne zagadnienia, ba, nawet zagadnienia, które jeszcze dotychczas w umysłach ludzkich nie powstały, zostaną rozwiązane. Jeżeli chodzi o rozwój pojęć moralnych, o kulturę, to ta dziedzina będzie — zdaniem uczonego — podążać żółwim krokiem za rozwojem techniki i cywilizacji.

Po czterech miljonach lat zacznie się dziać ludziom coraz gorzej. Energja słoneczna, to źródło wszelkiego życia na ziemi, pocznie stygnąć w zastraszająco szybkiem tempie. Ludzie przystąpią do budowy małych domostw, sztucznie ogrzewanych, a olbrzymie przestrzenie ziemskie będą niezamieszkałe. Wówczas zmuszeni koniecznością, mieszkańcy ziemi, mając do rozporządzenia olbrzymie zdobycze z dziedziny techniki, będą przemyśliwać o „przeprowadzce“ na inną planetę.

Ekspedycja wywiadowcza na księżyc, skończy się fiaskiem. Natomiast powiedzie się wyprawa dla zbadania warunków „energji“ na Wenerze, w tym czasie bowiem, planeta ta odpowiednio ostygłszy, będzie przypominać naszą ziemię w dobie obecnej. Wówczas to resztki zziębniętych na ziemi ludzi „przeniosą się“ na drugą planetę.

Łatwo owemu profesorowi przepowiadać, gdyż nikt z nas nie będzie żył. 40 miljonów lat, aby się przekonać, czy sprawdzą się jego przepowiednie.



MACIEK BZDURA GADA:

Ciągiem na mnie ludzie ujadają, żebym się żenił i koniec. Im się widzi, że ożenić się to taka łatwa rzec, a przecie do tego trzeba conajmniej pięciu rzecy, a casem to i sześciu. Po pirse trzeba chłopa. No ten to jest i to jesce jaki aligancki, a wabi się Maciek Bzdura, ućciwsy usy. Po drugie trzeba baby. No tego nasienia jest na świecie co niemiara, ino mietłą zamiatać. Są długie, suche. Są takoj długie, ale grubaśne, jak Wawrzkowa kobyła. Są krótkie i okrąglutkie, jak worecek z zimniakami. Są także krótkie, a takie cieniutkie, żeby ich śtyry w garść zwinął i do gęby całe wsadził. Są carne i białe, rude i popielate. Słowem: gwiźnij, a jaką chces, taka przyleci do ciebie. Po trzecie: trzeba księdza, któryby człowiekowi stułą życie zawiązał. I o tego nie trudno, bo nima przecie parafije, żeby przynajmniej jednego nie było. Po cwarte: trzeba organisty. No i tenby się znalaz, bo choćby go w parafiji brakło, to ino śpirytusem gdzieniebądź potrzyć, to choćby i z dziesiąty wsi ze węchem przylizie. Ale najważniejsa do wesela, to rzec piąta, a kuzden wie, że nią pieniądze. Bez nich ani na trochę, ani na wiek wieków amen nikt się ożenić nie potrafi. Bo i jakże! Cłek, aby się po katolicku ożenił, powinien też po katolicku wyglądać. A co mi to za katolik, który nima faje na długiem cybuchu. A na faje trzeba pinięndzy, a do faji trzeba tutonu, a na tutoń trza pinięndzy, a do zapalenia faji trza siarników, a na siarniki trza pinięndzy. I żeń się tu bez pieniędzy!

A jakbyś już tamte prowijanty od kogoniebądź wycyganił, to z cemże pójdzies do Kaśki, abo insy smyrdy na zrękowiny? Wody se weźmies, abo co? Przecie wiadomo, że bez napicia się przedtem to nima i miłości. Woda tu nie wystarcy! Bo jakbyś tak chciał się wymigać psim swędem i zapytał się:

— Kaśka, cy odkręcić, cy zakręcić?

Cobym ja wtedy zrobił, jakbym wódki ni miał, a Kaśka odpowiedziała:

— Odkręcić!

Cłekby się ze wstydu w byle cyją dziurę schował i już byłoby po weselu. A cyto bez pinięndzy da który Mosiek wódki? Chorobę da, ale nie wódki. A z chorobą na zaloty nikt przecie nie pójdzie.

A gdyby się nawet jaki drugi cud w Kanie Galilejskiej stał i woda w wódkę się przemieniła, toć tu jesce nie koniec strapienia, bo jesce opowiedzi. Cy znał kto kiedykolwiek takiego jegomości, któryby bez pinięndzy wylaz na kazanicę i pedzioł wszyćkiem, że tobie się zachciwa baby. Kuzden powi:

— Chce ci się, brachu, baby, to płać, a jak ni mas drobnych, to se wszyćkie osiemnaście palców za smakiem obliz!

A gyby się nawet takiego gdzie ze świcą litosiernego jegomościa znalazło, to i tak z tegoby nic nie było, bo pozostaje jesce organista. Idź, proś go, w łzy się zamień, jak powiedział Abel do Kaina, jak go Kain zabił, to on na łzy, ma jesce kpiny i powi ci:

— A cy ja ci się każe żenić? A cy mi twoja baba potrzebna. Ja mam swojej dość i dziecek parę, to cem jem gębę zatkam, jak na ślubach nie zarobię. Za chrzest cłek nie pociągnie, bo i słuśnie, bo przeciez nikt nie rodzi się dobrowolnie, ino musi się rodzić, jak go już raz Poniezus stworzył. Trudno pociągnąć za pogrzyb, jak kto dać nie chce, bo kuzden umirać musi i nie wskrzysi go żaden japtykarz, choćby mu całą flachę olejku rycynowego wlał do gęby... Ale ślub? Chces, to się żenis, a nie chces, to się nie żeń. A jak chces się żenić i mieć żarcie i opierunek za bezdurno, to płać bracie, kiedyś taki głupi, bo nikt twojego nieszczęścia nie pragnął, ino ty sam. I żebyś się na wszyćko, co ino jest na świecie, zaklinał, organista nie ustąpi, ale swoje mieć musi!

Na organistę trzeba tedy moc pieniędzy i nie wiadomo, cyby i cały złoty obstał!

To dopiero opowiedzi, a co dopiro sam ślub. Przed ślubem i jegomość i pon organista znowu ci w garść zaglądają i tak się jej przypatrują, jakby to było nie wiada co, a nie chłopska garść, która bywa śwarniejsą do lunięcia kogo w jadackę, jak do trzymania pinięndzy.

A gdyby się nawet udało jegomości i organistę obełgać i ślub dostać, to zostaje jesce wesele. A wesele, to pluskwa? he? Ileby to trzeba wiaderek zimniaków, ile bochenecków chleba? A jak cłek tego ni ma, to jakże sprosi sąsiadów? Przecie jem plew nie da!

Do niktórych małżeństw potrzebne choćby jedno dziecko. Miała berbecia dwa lata przed ślubem Wikta Podlaskówna, miała go na parę tygodni Zośka Macałówna, miały je inne wsiowe dziewice, a cyz ta, którą Poniezus la mnie przeznacył, ma być gorsiejca od gospodarzkich córek. A pędraka Kaśka tak na pocekaniu nie wystruga. Poliwkowie są już ze sobą osiem lat po ślubie, a jesce ni mają nic, to też i mnie trudno od Kaśki wymagać, aby było co za trzy niedziele. Co, prawda możnaby kupić, ale na to trzeba pinięndzy.

Zreśtą co ja się ta będę trapił o pieniądze! A cóż to Kaśka jedna na świecie? Przecie dzieuch nie brak i to takich, co jem łatwiej o drobne, jak o byle jakiego pośturchańca, a cóż dopiero mówić o takiem chłopaku, jak ja. Rozpisuję więc w „Roli" konkurs: Ftóra panienka chce się za mnie wydać, niech przysyła na opowiedzi i wesele piniądze, a ja się z kuździusieńką jesce przed jadwentami ożenię.



Piosenka.

Tyś w chałupie narodzona
Piosnko moja rzewna, cicha,
Z polnych wichrów uliniona
Z polnych kwiatów, tyś kielicha.

I z pasterczej nuty wzięta
I z sierocych łez osnuta —
Z bólu ludzi tyś poczęta,
Tyś mi w prosty ton wykuta.

Tyś z miłości się zrodziła
Do chat chłopskich — ciężkiej doli;
Byś o szczęściu chłopa śniła
I o jego czarnej roli...

Byś o szczęściu mu śpiewała,
Razem z wichrem po przestworzu —
A gdy przyjdzie — zapłakała;
Chłopskim bólem na bezdrożu.

Paweł Kubisz.

PRZEPRAWA PRZEZ WODĘ.



Nieraz spotykają człowieka przygody, których ani najbujniejsza fantazja na myśl nigdy mu nie przywiodła. Niejednokrotnie wychodzi z nich zwycięsko, ale zdarza się czasem, że przygoda taka kończy się dlań nieszczęśliwie. Najczęściej jednak przygody takie bywają dla człowieka nieszkodliwe, choć sprawiają mu w danej chwili dość przykrości. Obrazek, który obok zamieszczamy, przypomina mi przygodę, jaka mnie spotkała w moich młodych latach. Oto jednego popołudnia poszedłem odwiedzić kolegę w sąsiedniej wiosce. Ucieszył się mem przybyciem i począł mi opowiadać najróżnorodniejsze zdarzenia ze swojego życia. Słuchałem go z zajęciem i ani się spostrzegłem, kiedy zapadł wieczór. A było to jesienią, deszcz drobniótki mżył na polu. Przyjaciel mój chciał mnie zatrzymać na noc, ale ja uparłem się i ruszyłem w drogę. Ciemno było, że oko wykol. Szedłem przez pola, a gdy uszedłem kawał drogi, przejął mnie lęk, że pobłądzę i nie trafię do domu. Przyszło mi na myśl, że najlepiej będzie kierować się wiatrem. Szedłem od południa ku północy, więc rozumiałem, że trzeba tak iść, aby zawsze deszcz uderzał w moją lewą stronę twarzy. Zdawało mi się, że odkryłem Amerykę i wywinąłem młyńca laską, ale tak nieszczęśliwie, że laska wysunęła się z ręki Ani rusz było jej odszukać. Zrezygnowałem z poszukiwań i szedłem dalej, kierując się ciągle wiatrem. Upłynęła godzina jedna i druga, a ja jakoś do kresu mej podróży nie dochodziłem. Kiedy wreszcie świtać zaczęło, spostrzegłem dopiero, że jestem tuż przy swoim domu. Z radością wszedł m pod dach, zrzuciłem corychlej przemoknięte ubranie i wdziałem suche, a że deszcz za ten czas ustał, udałem się na poszukiwanie laski. Jakież było moje zdziwienie, gdym ją znalazł kilkadziesiąt kroków od domu. Zrozumiałem natychmiast moją wędrówkę: oto wiatr przed wsią zakręcał robiąc kółko, a ja kierując się nim, chodziłem ośm godzin linją kołową po ugorze. Może być, że i nasz Krakus na obrazku w podobny sposób podróżuje?

Zmartwychwstała.

I.

Jest to już temu wiele lat, kiedy młody lekarz pan Ignacy przechodził się niecierpliwie po swym pokoju. Oczekiwał on człowieka, który w każdym uczciwym wstręt obudza, a jednakże dawniej lekarze bez takich ludzi obejść się nie mogli. Ludzie ci wykradali z grobów świeże trupy i dostawiali je lekarzom. Obrzydliwy ten rodzaj rzemiosła był jednakże dla nauki potrzebnym, gdyż lekarze na ciałach zmarłych wydoskonalali się w swej sztuce.

Północ uderzył zegar na ratuszowej wieży, gdy w przedpokoju pana Ignacego dały się słyszeć kroki oczekiwanego rozbójnika cmentarnego, a po chwili wszedł dzikich rysów mężczyzna, dźwigający na plecach w miechu jakiś ciężar. Złożywszy na stole swój tajemniczy pakunek i odebrawszy umówioną zapłatę, natychmiast się oddalił, oświadczywszy poprzednio, że musi wydalić się za granicę, gdyż sądy go ścigają.

Przedmiot na stole leżący był to trup może dwadzieścia lat liczącej niewiasty. Leżała wznak z oczyma zamkniętemi, w białej śmiertelnej sukni. Lekarz, aczkolwiek mu widok taki wcale nie był nowym, jednakże zadrżał, spojrzawszy przy świetle lampy na twarz umarłej. Było w tej twarzy tyle piękności, tyle uroku i jakiegoś wyrazu, że nie śmiał zabrać się do krajania. Odstawiwszy lampę, nakrył twarz umarłej białą chustką, a sam oddalił się do bocznego pokoju.

Siadłszy na krześle zamyślił się głęboko. Ot! cóż to jest młodość, co piękność!... jak wszystko wnet przemija! Tam w bocznym pokoju leży cud piękności, a za chwilę członki rozpadną się pod jego nożem anatomicznym! Owa niewiasta niedawno jeszcze zachwycała wdziękami, a dziś oddana na pastwę robactwu!

Po niejakim czasie, sam nie wiedząc czemu, powstał i udał się znowu do pięknego trupa. Otworzywszy drzwi krzyknął przeraźliwie i odskoczył w tył, gdyż trup siedział na stole. Widocznie niewiastę pogrążoną w letargu żywo pochowano, a teraz obudziła się u niego.

Drżący lekarz oprzytomniawszy nieco, pośpieszył z pomocą. Niewiasta w swej śmiertelnej sukni zwróciła na lekarza swe piękne niebieskie oczy, ale wyraz jej twarzy nie zdradzał ani przestrachu, ani radości, ani nawet zdziwienia. Chciała nawet powstać i zejść ze stołu, lecz lekarz tego nie dozwolił. Uchwyciwszy w pas zmartwychwstałą, zaniósł ją na własne łoże. Ta w milczeniu pozwoliła się ułożyć i w momencie zasnęła, a on się oddalił.

Jakiemi uczuciami lekarz był przejęty, trudno opisać. Tuż obok spoczywa niewiasta piękna jak anioł, ale bezsilna, bez zmysłów, nieznana, a jednak jej opuścić niepodobna, bo gdzież ją podzieje?... Może je-

dnak da się potajemnie uwiadomić rodziców, lub krewnych, którzy dziewicę odbiorą.

Podparłszy głowę na ręku począł się namyślać, co mu dalej uczynić wypada.

Nagle posłyszał za sobą westchnienie, bardzo słabe, ale wyraźne. Obróciwszy głowę, ujrzał poza swem krzesłem stojącą zmartwychwstałą w jej śmiertelnem odzieniu. Zerwał się przerażony, a uchwyciwszy ją za rękę, posadził na swem siedzeniu.

Usiadła w milczeniu i swe wyraziste oczy zwróciła na lekarza, który zafrasowany stał z boku, nie wiedząc, co mu czynić wypada. Tymczasem niewiasta, jakby posąg jaki z białego marmuru, siedziała spokojnie, otulona w swą śmiertelną szatę.

Milczenie to silne wywarło na lekarza wrażenie. Spóźniona pora — śmiertelny ubiór niewiasty, — jej uporczywe milczenie — silnie na nerwy jego oddziałało. Ona siedziała na krześle, jak nagrobek wykuty z marmuru, ale kiwaniem głowy zdradzała, że w tem białem ciele jeszcze żywy duch się znajduje.

Lekarz oczywiście w upiory nie wierzył, nie mógł się jednakże pozbyć przestrachu, jakim go widok zmartwychwstałej nabawił. Przemówił do niej w kilku językach, ale żadnej nie odebrał odpowiedzi. Patrzała tylko łagodnie na niego, ale żadnym muskułem twarzy nie zadrgnęła.

Bez namysłu właściwie podał jej lekarz książkę. Ona ją odebrała, zaczęła karty przewracać i bawić się jak dziecko.

— Jezus! Marja! rzekł lekarz sam do siebie — ona nie ma zmysłów!... Cóż ja z nią pocznę? A może niemowa!

Ale w tej chwili nieszczęśliwa odezwała się łagodnym, słodkim głosem:

— Podaj mi szklankę wody!

Lekarz co żywo spełnił żądanie. Chora chciwie wypiła podaną wodę, a oddając szklankę, rzekła znowu:

— Jeść mi się chce!

To było dla pana Ignacego trochę z trudnością połączone. Będąc samotnym, miał za gospodynię starą Brygidę, która trzymała wszystkie wiktuały pod kluczem. Jak to często się zdarza, gospodyni owa rościła sobie pewien rodzaj dozorowania młodego lekarza. Ona też nie wiedziała, że jej pan tuż zaraz przez ścianę odbywa nocami anatomiczne studja, że kraje trupy, podczas gdy ona smacznie zasypia. Gdyby była coś przynajmniej się dowiedziała, nie tylko że cała stolica o tem byłaby się dowiedziała, ale i poczciwa Brygida byłaby opuściła dom, w którym tak straszne rzeczy się dzieją. Nie dziw tedy, że pan Ignacy popadł w niemały kłopot. Inaczej mu nie wypadało, jak Brygidzie powiedzieć prawdę. A tego obawiał się jak ognia.

Jednakże cóż miał zrobić? Z prawdziwie bohaterską odwagą zapukał do sypialni Brygidy, która zerwawszy się ze snu, o mało co nie zbudziła swym krzykiem całego domu.

O ludziach jednak nie trzeba sądzić zawcześnie. Brygida bowiem dowiedziawszy się o wszystkiem, nie tylko nie uciekła z tak strasznego domu, ale złożyła uroczystą przysięgę, że nikomu nie zdradzi tajemnicy, a zmartwychwstałą uda za swą krewniaczkę.

Lekarz co rychlej wrócił do chorej, a za nim weszła niebawem Brygida z jadłem, jakiego o tej porze mogła dostarczyć. Chora w milczeniu jadła, zdaje się z dobrym apetytem, ale widocznie bez smaku.

Brygida rozpoczęła z nią rozmowę, ale napróżno, gdyż na wszystkie pytania, a było ich bez liku, — żadnej nie odebrała odpowiedzi albo chyba kiwnięcie głową. Ze wszystkiego wykazało się, że nieszczęśliwa straciła pamięć o wszystkiem, co się z nią działo. Nie wiedziała nawet jakie jej imię, nie wiedziała o letargu, nie wiedziała zgoła nic, jedynie nie zapomniała mówić. Było to więc dorosłe, mówić umiejące dziecko.

— Cóż pocznę nieszczęśliwy? — zawołał lekarz sam do siebie — cóż zrobię z tą obłąkaną? Ale jam ją do życia przywołał i wyganiać jej nie mogę. Przyjdzie czas, a może zasłona tajemnicza spadnie. Tymczasem będziemy tę nieszczęśliwą pielęgnowali, jak na ludzkość przystało, i dajmy jej imię Marynia. Maryniu! — dodał zwracając się do chorej — pójdziesz z twą ciotką tam do pokoju i zaraz położysz się w łóżko, gdyż...

Marynia nie czekała końca mowy, ale z posłuszeństwem dziecka powstała i upuściwszy książkę na ziemię, zwróciła się ku drzwiom prowadzącym do alkierza. Brygida poszła za nią.

Lekarz pozostawszy sam, schwycił się za głowę. Położenie jego było w samej rzeczy krytyczne. Chwilę sądził, że sam straci zmysły. Aczkolwiek wykradanie trupów było dla nauki potrzebnem, to jednakże prawo surowo za to karało. Rodzina Maryni możeby wreszcie przebaczyła ze względu na uratowanie przez to życia młodej dzieweczce, lecz gdzież szukać tej rodziny? Marynia całkowicie straciła pamięć przeszłości, a rozbójnik cmentarny pewnie już za granicą, jakżeż więc dowiedzieć się, z którego cmentarza trupa wykradziono? Jedynym sposobem było dopytywać się u poszczególnych parafij, a księgi kościelne zapewneby rzuciły jakie światło na tajemnicę, ale tego ze względu na ostre prawo uczynić nie można.

Słońce wschodzące wyrwało lekarza z zadumania. Chcąc się pozbyć przykrych wrażeń całej nocy, zabrał się i wyszedł na świeże powietrze, zarządziwszy poprzednio, co należało uczynić dla zmartwychwstałej.

Już było blizko wieczora, kiedy powrócił do domu. Marynia była ubraną w stosowne suknie, na jakie gospodyni zdobyć się mogła.

Z uśmiechem dziecka przywitała Marynia wchodzącego lekarza, lecz na jego pozdrowienie nie odpowiedziała. Natomiast gospodyni oznajmiła, że ją musiała sama ubrać, gdyż na żaden sposób nie umiała obejść się z odzieżą.

Marynia była dorosłem dzieckiem. Pan Ignacy szczerze zajął się jej kształceniem, a postępy jej nie rozwijały się, jak u dziecka, tylko szybko w nagłych odstępach. W kilku tygodniach czytała i pisała całkiem poprawnie, grała na fortepianie i po roku mówiła kilku językami.

Ale w tym roku i serce jej żyć poczęło. Początkowo z dziecięcem posłuszeństwem spełniała lekarzowi rozmaite posługi. Później to posłuszeństwo zamieniło się w cieplejsze uczucie.

— Ignacy! — zapytała pewnego razu — kochasz mnie ty? — I objęła swemi alabastrowemi ramiony jego szyję.

— Maryniu! — zawołał czule Ignacy, — jak możesz o tem wątpić? Czas, że cię na świat wyprowadzę, i pokażę...

Jak piorunem rażona odskoczyła od niego, a potem z głośnym płaczem rzuciwszy mu się na szyję, zawołała: — O nie! nie! jam tylko z tobą szczęśliwa! Nie chcę, nie życzę sobie wyjść poza te progi! Nie wyganiaj mnie!

Ignacy uczuł łzę w oku, a serce zabiło mu gwałtownie. Przycisnął do siebie dziewicę, i poraz pierwszy w długim serdecznym pocałunku ich dusze się złączyły.

W kilka tygodni później Marja została małżonką lekarza.

(Dokończenie nastąpi).

KLEMENS JUNOSZA.

Abraham Pinkt i Marcin Sikora.

I.

Tęga i długa była zima w r. 187... — mróz, jak wziął w końcu listopada, tak trzymał bez pofolgowania do pierwszych dni marca, a śniegu nazbierała się moc wielka. Grubym, białym kożuchem rozłożył się on na polach, łąkach, wodach zamarzniętych, — a po lasach, gdzie wiatr mu nie przeszkadzał i nie miał do niego łatwego przystępu, tak się ułożył i umocnił, jak gdyby aż do czerwca miał leżeć.

Nie bardzo dobra taka zima... Bydło świata nie widzi, stoi jak zamurowane w oborach, z paszą trzeba się skrupulatnie liczyć, a i na dzikiego zwierza



Gdy Abraham chciał wziąść gęś.

głód przychodzi taki, że rozzuchwala się i do siedzib ludzkich zagląda. Gdzie całemi latami nie słyszano o wilkach, to się czasu takiej zimy przypomną; lisy, niby złodzieje, podkopują się do kurników, żeby gęś albo kurę porwać; nawet psy muszą się dobrze pilnować — bo wilk, gdy głodny, to i swego stryjecznego brata się czepi.

Gajowy Koguciński, który pod samym lasem mieszkał, a na zwierza był bardzo zawzięty, wypatrywał dobrze wszelkie ślady i ścieżynki w lesie, znał dróżki, któremi zwierzyna chodzi, zastawiał żelaza, trutki kładł, ze strzelbą się nocami zaczajał i nie jednego szkodnika uśmiercił, — to też miał w komorze coś siedem skór lisich i parę kunich, i obiecywał sobie, że jeszcze to bogactwo powiększy

Miał już i kupca na ten towar — bo ile razy w miasteczku był, tyle razy Abram Pinkt zaczynał z nim rozmowę w tym przedmiocie... Byliby już dawno skończyli tranzakcję, ale Koguciński drożył się, a Abram znów za bezcen chciał kupić; nawet przemówili się kilkakrotnie z tego powodu. Abram za wygranę nie dawał — wiedział, że skórki prędzej czy później nabędzie, bo kupowanie skórek było jego specjalnością, i nikt mu w tem nie przeszkadzał, konkurencji nie robił i targu nie psuł.

Mając dość wolnego czasu, Abram zastanawiał się głęboko nad istotą handlu skórkami i nad misternem urządzeniem tego całego interesu. Trochę skombinowany on jest, ale czysty jak kryształ i uczciwy. Dlaczego nie miałby być uczciwy? Powiadają, że Koguciński sprzedaje pańskie zające, że Mateusz Sikora poluje na cudze zające. To fałsz! Czyją własnością jest zając żywy? — niczyją. Szlachcic powiada, że jego — głupstwo!... Zając ucieknie do drugiego lasu, do trzeciego, do dziesiątego — i już po własności. Abram ma przecież w miasteczku połowę domu własnego; na tym domu jest dach, a na dachu siadają bardzo często wróble i wrony. Czy Abram może powiedzieć, że to jego wrony? — Wcale nie — Abram taki głupi nie jest, bo wrona mogłaby frunąć i zażartować z jego twierdzenia. Tak samo i zając — dopóki żyje, jest niczyj... co najwyżej, należy do swojej żony, jeżeli ją ma; człowieka-właściciela znajduje dopiero po śmierci, chociaż go szuka za życia. Mateusz postawi wnyki, zając się w nie złapie, Mateusz go schowa do torby — wtenczas zając jest własnością Mateusza. Potem przychodzi Abram, kupuje zająca za swoje pół rubla własne, chowa go w swój własny worek i jest właścicielem zająca — ale na krótko, bo zaraz sprzedaje go za 60 kopiejek — i po kilku dniach kupuje z niego skórkę za małe pieniądze.

Abram jest mały kupiec, nabywa skórki pojedynczo, dla takiego, co zbiera ich pełne wozy, — a ten znów dla takiego, co puszcza w świat całe wagony skórek.

Interes skórkowy — to zegarek. Małe kapcany i łapserdaki — to małe kółka w nim; one chodzą z głośnym gangiem, z brzękiem, obracają się jak warjaty, szybko, żywo, ciągle, oprócz szabasu. Większe łapserdaki — to większe kółka, mają poważniejszy obrót, nie są tak ruchliwe; za temi znów większemi kółkami siedzi osoba — sprężyna! Ona się prawie wcale nie rusza, a wszystkiemu ruch nadaje — to jest król od zajęczych skórek.

Dla tej sprężyny kręcą się małe kółeczka, obracają większe; dla niej Mateusz zastawia wnyki, a Koguciński zasiada nocą, przy księżycu, koło owsianych snopków, rzuconych na przynętę.

Abram lubił rozmyślać o handlu skórkami, lubił zastanawiać się nad nim, i nie tylko nad nim, ale nad wieloma innymi objawami życia. Mało go obchodziło cudowne urządzenie natury, jej harmonja, piękność, siła, jej potęga, — ale natomiast upajał się harmonją geszeftów.

Rozmyślania nie przeszkadzały Abramowi oddawać się handlowi — owszem, miał go zawsze na pierwszym planie. Skórki Kogucińskiego spać mu nie dawały. Lisie skórki! to nie zwyczajny towar, to już coś w wyższym stylu — a kunie!...

Abram wie doskonale, że jeden wielki more-morejne w miasteczku potrzebuje dwóch skórek na odnowienie kołnierza przy futrze i że rządca z Kobyłek marzy od dawna o sprawieniu sobie lisiurki. Interes gotów, nawet dwa interesa, — tylko ten Koguciński twardy chłop. Uparł się jak kozieł i nie chce ustąpić. Powiada: „wolę wcale nie sprzedać, niż tanio sprzedać..." Czysty warjat! Co on sobie myśli? Czy ja mu nie pieniądzmi płacę, czy mało zajęcy od niego wykupiłem?

Ostatecznie postanowił Abram udać się do Kogucińskiego osobiście. Mila drogi wcale niewielki interes, zwłaszcza dla człowieka, który od wczesnej młodości tylko na piechotę handluje.

Bagatela to. Ileż mil drogi odbył w swojem życiu, od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka kursując!

I dziś postanowił pójść. Wprawdzie już się ściemnia — ale to bajki! droga znana i niedaleka, a przytem księżyc świeci.

Abram wdział na siebie gruby chałat, podpasał się krajką, lisią czapkę nasunął na oczy i poszedł.

Żona odradzała mu tę wyprawę.

— Słuchaj — mówiła, zanim wyszedł, — lepiej ty jutro rano idź, lepiej nocuj w domu, jak przystoi na bogobojnego, sprawiedliwego żyda...

Abram nie słuchał.

Tej nocy księżyc był jakiś bardzo marny i nędzny. Tak niewyraźnie błyszczał z za chmur, jak pani burmistrzowej lampa z poza firanek i rolety płóciennej. Abram dobrze tę lampę znał, bo świeciła wprost okien jego stancyj, świeciła się nieraz długo, bardzo długo, prawie do samego rana. I w tem nic nadzwyczajnego niema, ponieważ burmistrz może mieć tańszy gatunek nafty, niż zwyczajny człowiek.

Księżyc nie świecił długo. Wyglądał coraz mizerniej, aż nareszcie całkiem przestał wyglądać — zniknął. Natomiast zaczął prószyć drobny śnieg. Abram rozmyślał nad tem zjawiskiem i żałował, że zamiast śniegu nie pada kasza, taka prawdziwa kasza, co można ją sprzedawać po kilkanaście groszy kwarta. Dlaczego nie? Przecież raz już było takie zdarzenie z manną — ale wówczas żydzi nie umieli się poznać na czem dobrem i robili grymasy. — Dobrze im tak, niech teraz jedzą śledzie z cebulą.

Śnieg pada coraz gęstszy, zalepia Abramowi oczy. Wogóle głupi to interes — ale pół drogi już zrobione, pozostaje druga połowa; kawałek drogi do lasu, potem las, w lesie z gościńca na prawo, potem trochę na lewo, dalej przez krzaczki na prost, przez mostek na strumieniu, przez łączkę na lewo, znów na prawo w las — i może najwyżej o sto kroków Kogucińskiego chałupa.

Dziwna rzecz wszakże, skąd się ten śnieg bierze? Sypie coraz gęstszy i gęstszy, tak, że niema już nieba, ziemi, lasu, pola, tylko sam śnieg. Pełno go w górze i na dole, pełno z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków; nie widać ani drogi, ani ludzkiej siedziby, ani drzewa — nic; jest tylko śnieg.

Na domiar złego, zrywa się wiatr i zaczyna tym śniegiem kręcić w niegodziwy sposób. Białe płatki, które dotychczas spokojnie i równo osadzały się na wąsach, brodzie, brwiach i rzęsach Abrama, zaczynają figlować, wciskają się w nos, w usta, za kołnierz, w rękawy; zasypują drogę, niszczą ślady sani, sprowadzają na manowce...

Abram czuje pod nogami jakieś nierówności, uderza się o krzak, zapada w rów, a przytem doznaje dziwnego, nieokreślonego uczucia... jakby strachu. Może żona miała rację, zatrzymując go w domu? Może — kto wie? Wychodząc z domu, Abram wiedział, że udaje się do Kogucińskiego; cel miał określony jasno — a teraz sam nie wie, dokąd go nogi zaprowadzą. Jest mu na przemian zimno i gorąco, męczy się.

Stanął, żeby skombinować, gdzie jest, i czy ma iść na prawo, czy na lewo, naprzód, czy w tył. Kombinacja niełatwa. Świat wydaje się niby wielki garnek, napełniony rozwodnionem mlekiem i krupkami, garnek, w którym niewidzialna żydówka miesza wciąż niwidzialną kopyścią.

Czemże jest Abram w tym garnku? Nędzną krupką, która, będąc cięższą niż inne, spadła na dno i nie wiruje wraz ze wszystkiemi, ale ma jeszcze gorszy los, bo leży na spodzie, słaba, bezsilna, a nad nią kłębią się miljony krup i rozwodnione mleko... A co będzie, jak owa żydówka niewidzialna do samego dna kopyścią dostanie i pchnie tę cięższą krupkę, Abrama, w wir szalony?...

To jest całkiem pfe! Żona miała słuszność; po co było chodzić na taką noc szkaradną? W dodatku do wszystkiego złego jest cisza. Żadnego głosu nie słychać, żadne stworzenie żywe, żaden człowiek nie odzywa się. Czemuż chociaż z daleka nie dochodzi wołanie „hetta!“ lub „wiśta!“ Czemu jaki chłop nie jedzie?

Czy potrzeba dowodzić, że w takiej chwili głos pijanego chłopa byłby się wydał Abramowi słodszym nad dźwięki „Pieśni nad pieśniami“, nad najpiękniejszą melodję?

Niestety, niema nikogo!

Może poraz pierwszy w życiu handel skórkami zajęczymi nie wydał się Abramowi tak słodkim interesem, jak zwykle — ale, bądź-cobądź, trzeba było iść i dotrzeć do chałupy Kogucińskiego.

Jest już i las. Duży bór, drzewa w nim wysokie, potężne; między niemi Abram bezpieczniejszym się czuje, odwagi nabiera, kroczy śmielej.

Kilka razy się potknął, parę razy zaczepił kapotą o jakiś krzak — ale to nie zatrzymywało go, szedł ciągle. Miarkował, że już musi być dość późno — i to przejmowało go obawą. W normalnych warunkach mógł był już od godziny być w chacie Kogucińskiego — a teraz sam nie wie, gdzie jest. Może blizko od niej, może daleko. Kto podczas zawiei potrafi zbadać, w jakiem się miejscu znajduje?

Abram czuł, że pomimo zimna, krople potu występują mu na czoło, — przyśpieszył kroku, jak gdyby uciekając przed nieznanem niebezpieczeństwem.

Naraz rozległ się jakiś dziwny krzyk.

Co to jest? Żyd stanął, zaczął nasłuchiwać. Krzyk powtarzał się raz po raz płaczliwie, a dochodził z tej właśnie strony, w którą Abram dążył.

Czy iść na przód, czy wrócić się?

Zdawało się Abramowi, że ten krzyk obcym mu nie jest, że już go nieraz w życiu słyszał... owszem, nawet dość często słyszał, — lecz kiedy? gdzie? w jakich okolicznościach? Kiedy przed paroma miesiącami kupił gęś i zamknął ją w drwalni, ona zupełnie tak samo krzyczała... ale, szczególna rzecz, cóżby teraz gęś miała robić w lesie, nocną porą, podczas zadymki? Może dzika? Skądby się w zimie znalazła?

Głos dodchodzi coraz wyraźniej — Abram nie ma już najmniejszej wątpliwości; istotnie, jest to gęś — bardzo szacowny ptak.

Abram szedł w stronę, z której głos dochodził, trochę śmiało i trochę ostrożnie, właśnie jako przystoi na człowieka, który łączy w sobie odwagę lwa i przezorność wężową... Szedł trochę śmiało, gdyż wiedział, że gęś nie jest ptakiem drapieżnym i nie rzuca się na ludzi, — a trochę ostrożnie, ponieważ nie można twierdzić bezwzględnie, że stworzenie, odzywające się głosem gęsi, ma być koniecznie gęsią... Nawet w razie, gdyby posiadało wszystkie zewnętrzne cechy tego ptaka: dziób, pierze, nogi, gdyby gęgało i znosiło jajka, to jeszcze mogą być pewne wątpliwości... Abram wie o tem, ponieważ czytał wiele, słyszał opowiadania ludzi mądrych i rozumiał doskonale, że nawet w takiej na pozór prostej rzeczy może być ukryte nieszczęście lub oszukaństwo. W danym wypadku mogą być, opuszczając wiele innych subtelnych i wyrafinowanych, trzy przypuszczenia najprostsze: albo gęgające stworzenie jest zwyczajną gęsią, przypadkowo znajdującą się w lesie; albo jest formą, naczyniem, w którem ukrył się zły duch dla uczynienia Abramowi psoty; albo wreszcie jest czasowem siedliskiem jakiej duszy żydowskiej, pokutującej za grzechy. Umysł Abrama skłaniał się ku pierwszemu i

trzeciemu przypuszczeniu; przekładał nawet trzecie nad pierwsze, gdyż zabrawszy gęś i zjadłszy ją, uwolniłby zarazem pokutującą duszę, co jest uczynkiem bezwzględnie dobrym. W miarę zbliżania się do miejsca, z którego głos dochodził, Abram czuł, że serce coraz silniej w nim kołacze, ale wysiłkiem woli opanowywał wrażenie i do pewnego stopnia zapanował nad niem w rzeczy samej; raz dlatego, że gęś, choćby nawet najchudsza, warta jest przynajmniej pół rubla, a powtóre, że handel przez całe życie skórami dzikich stworzeń i zwierzyną, człowiek mimowolnie zyskuje na odwadze, jak herbata w sąsiedztwie świec łojowych zyskuje na zapachu.

Idąc wciąż ostrożnie, nasłuchując i wytężając wzrok, Abram doszedł do krzaka, poza którym rozlegało się wyraźnie gęganie. Przystanął, wychylił głowę z poza gałęzi... i ujrzał w odległości trzech kroków od siebie prawdziwą, dużą, siodłatą gęś. Doskonale można było na śniegu widzieć jej szare skrzydła, któremi trzepotała rozpaczliwie, mając prawdopodobnie związane nogi.

Abram szybko skombinował, że jego drugie i trzecie przypuszczenie upada, że nie ma przed sobą zamaskowanego szatana, ani pokutującej duszy, lecz zwykłą gęś, którą prawdopodobnie pijany chłop miał na wozie i nie zauważył, że spadła. Doskonały interes do zrobienia — tylko się schylić, gęś zabrać, zanieść do domu i urządzić z niej wspaniałą ucztę dla rodziny.

Wobec tak pięknego a niespodziewanego zysku Abram postanowił, w razie gdyby Koguciński bardzo się przy cenie skórek upierał, postąpić mu po sześć groszy na lisich, a po dziesięć na kunich.

Niech się i on zbogaci!

Niestety, wszelkie wogóle kombinacje ludzkie mają tę wadę, że bywają niepewne i omylne. Niewiele też na nich można budować.

Gdy Abram prawą ręką chciał wziąć gęś, stało się coś nadzwyczajnego... Ziemia się zapadła i biedny handlarz skórek wraz ze swą niespodziewaną zdobyczą wpadł w przepaść.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zjedzona narzeczona.

Nie wiem, czy znajdzie się na kuli ziemskiej człowiek, któryby miał w życiu, przygodę, podobną do mojej.

Prócz ogromnej dramatyczności, mieściła ona w sobie również pierwiastek komizmu, lecz wogóle była wprost straszna. Grozę jej powiększała jeszcze ta okoliczność, że ktoś drugi brał w niej taki sam udział, jak ja i dziś obaj nie możemy bez drżenia spotkać się ze sobą.

W r. 189... należałem do pewnej wyprawy pod przewodnictwem komendanta Zidlera, suchego, jak patyk Alzatczyka, który odwagą swoją wyróżniał się pomiędzy innymi. Przedsięwzięcie to nie wymagało zbyt dużej inteligencji, ale za to ogromnego tupetu. Chodziło o to, ażeby przeszedłszy z małą garstką ludzi pewną część Afryki, dać uczuć jednemu z małych murzyńskich królików, siłę władzy państwa francuskiego. Oddział nie mógł być liczny, bo zwróciłby na siebie uwagę innych władzców i musiał odznaczać się wielką odwagą, ponieważ droga prowadziła przez posiadłości dwóch czy trzech plemion zajadłych ludożerców.

Nie było zresztą w tem nic niesłychanego i inni przed nami wykonywali z powodzeniem podobne przedsięwzięcia w trudniejszych jeszcze warunkach.

Zidler wiedział, że po ukończonej robocie, prócz pieniężnego wynagrodzenia, czeka go ładny awans. Potrzebował tylko przedstawić się ministrowi jako Alzatczyk, ażeby otrzymać dowództwo nad wyprawą. Przy organizowaniu oddziału, wybór jego padł przedewszystkiem na Béthune'a, którego znał oddawna i cenił za doskonałą znajomość topografji kraju, o czem sam nie miał najmniejszego pojęcia. Béthune postawił moją kandydaturę. Byliśmy przyjaciółmi od dziecka i odbycie razem jakiejś wyprawy oddawna już leżało w naszych marzeniach.

Po wylądowaniu wszyscy przechorowaliśmy na febrę i Bóg jeden raczy wiedzieć jaką ilość chininy zmuszeni byliśmy pochłonąć. Zidler tylko nie chciał słuchać nic o tem lekarstwie i zastąpił je nadmiernem spożywaniem mięsa i doprawdy, na złe mu to nie wyszło.

Nawpół uzdrowieni puściliśmy się w dalszą drogę, w głąb kraju, gdzie nasza kuracja powinna była skończyć się.

Pomimo przepełnionego tlenem powietrza górzystej okolicy, wszyscy czuliśmy się dziwnie osłabieni i ogarnięci jakimś chorobliwym niepokojem, graniczącym chwilami z lekkim obłędem, który pomieszał wszystkie nasze myśli europejskie. Dzicy silni instynktem ludzi pierwotnych, warczeli na nas zdala, krążąc jak stado wilków około ogniska podróżnych.

Jeden tylko Zidler zachowywał zupełnie zimną krew i trzymał nas w żelaznej dyscyplinie.

Dzielny ten człowiek znał się dobrze na złym wpływie klimatu afrykańskiego, od którego broniła go jego alzacka dobroduszność, a może trochę wiek.

Béthune i ja przeżywaliśmy straszne chwile. Oczy nasze, przyzwyczajone do wyrażania uczuć przyjaznych, obecnie odwracały się z niechęcią. Co chwila jeden z nas znikał gdzieś w zaroślach i pozostawał tam długie godziny, upajając się niezdrową samotnością. Czasami jednak wracały chwile serdeczności i z czasów naszego koleżeństwa i serca nasze radowały się braterską miłością. Wtedy Zidler patrzał na nas z uśmiechem, paląc fajeczkę, poczem wszyscy zasypialiśmy w zadowoleniu.

Dotarliśmy nareszcie do celu naszej podróży.

Dzięki prawdziwej dyplomacji, zostaliśmy dopuszczeni przed oblicze władzcy. Zdarzyło się, że władzca ów, wbrew oczekiwaniu, okazał się człowiekiem rozumnym i nastrojonym zupełnie pokojowo.

Przyjął nas z honorami, wyraził ogromną wdzięczność za przywiezioną mu w darze samogrającą karafkę, zadeklarował się najzupełniej, jako sprzymierzeniec Francji i w dowód sympatji ofiarował nam kilku dobrych służących, pomiędzy którymi były trzy murzynki. Zidler nie wzruszał się nimi wcale.

Dwie z nich były potężnie brzydkie, za to trzecia odznaczała się taką żywością rysów twarzy i elegancją form, jakie rzadko się dają spotykać nawet w Europie. Nie pochodziła z tego kraju; władzca porwał ją wraz z innymi w jakiejś wyprawie wojennej i przy-

wiózł do siebie. Zresztą nie cenił jej wcale i wolał owe dwie brzydkie, które odznaczały się niesłychaną obojętnością i tuszą.

Ja i Béthune zakochaliśmy się w tej małej na zabój.

Była w pełnym rozkwicie swojej młodości, a przytem inteligentna, łagodna, śmiejąca się.

Asystowaliśmy jej obaj zawzięcie. Zdaje mi się, że ja podobałem się jej więcej, lecz mój przyjaciel podbił ją sobie podarowaniem kilku szklanych świecidełek.Wydało mi się to nieuczciwem i powiedziałem co myślę.

Béthune wziął naganę moją gorąco do serca. Przemówiliśmy się ostro, a dziewczyna wciąż była niezdecydowana. Uśmiechała się to do jednego, to do drugiego, nie rozumiejąc wcale naszej rywalizacji, biedna mała, niewinna niewolnica, gotowa w każdej chwili do wszelkich usług.

Muszę oddać sprawiedliwość Béthune'owi, że i on był tak samo, jak ja, zakochany i niezdolny do okazywania w sposób brutalny swego trjumfu. Wydzieraliśmy więc sobie wzajemnie pieszczoty dziewczyny, a im dalej, tem bardziej wzrastało nasze uczucie.

Wreszcie stało się to wprost nie do zniesienia. Za jeden uśmiech, za jedno spojrzenie tego świeżego dziecka gotowi byliśmy rzucić się jeden na drugiego. W końcu postanowiliśmy się bić.

Do tego wybraliśmy ustronne miejsce za jedną pustą lepianką. W obawie, ażeby Zidler nie dowiedział się, postanowiliśmy obejść się bez świadków.

Niestety! w tej oddalonej okolicy, nawet puste lepianki mają uszy. Ukryci Murzyni widzieli wszystko i przerażeni widokiem broni, pobiegli zawiadomić o tem króla. W jednej chwili dobrotliwy władzca znalazł się obok nas na placu boju. Ja zraniłem Béthune'a w ramię. Król, gestykulując zamaszyście, zaczął mi robić wyrzuty, przyczem w czasie przemowy zwracał się często do swych dygnitarzy, a ci kiwali głowami na znak zgody.

Nie mogliśmy zrozumieć wszystkiego, co mówił, lecz, sądząc z gestów, domyśleliśmy się, że chodzi o pogodzenie nas. W obawie więc, ażeby Zidler nie nadszedł, ja i mój przyjaciel podaliśmy sobie ręce, wyrażając królowi wdzięczność za życzliwe wmieszanie się do sprawy.

Wszystko to odbyło się za pomocą tylko gestów, ponieważ tłómacza naszego Zidler trzymał zawsze przy sobie. Król wynurzył się jeszcze z czegoś, czego nie zrozumieliśmy i żądał naszego przyzwolenia. Jednozgodnie kiwnęliśmy głowami na znak zgody. Wtedy król zwrócił się do swoich dygnitarzy i wydał jednemu z nich jakiś rozkaz, poczem wszyscy krzyknęli przeraźliwie i konferencja skończyła się.

Zostawszy sami, ja i Béthune, momentalnie odwróciliśmy się do siebie plecami. Ani miłość nasza, ani uczucie nienawiści nie zostały zadowolone.

Dni płynęły jednostajnie, przerwane tylko odwiedzinami tłómacza, który przyszedł przypomnieć nam w imieniu króla o wielkim balu mającym się odbyć z nastaniem pełni. Zrozumieliśmy, że to właśnie było niezrozumiałym dla nas tematem owej długiej przemowy, po domniemanem naszem pogodzeniu się. Tłómacz uśmiechnął się złośliwie i życząc nam wszystkiego dobrego, powrócił do Zidlera.

Malutka murzynka była czegoś ciągle smutna pomimo szczególnych względów ze strony dygnitarzy. W oczach jej, zwróconych ku nam, malował się żal. Obaj staraliśmy się rozweselić ją, przykładając rękę do serca na znak wielkiej naszej miłości. Lecz ona czuła dziwny jakiś wstręt do tego właśnie gestu i uciekała od nas do grona dygnitarzy, którzy długiemi rozmowami znowu sprowadzali uśmiech na jej usta.

Nadszedł wreszcie dzień uczty.

Piliśmy i jedliśmy bardzo dużo, chcąc dogodzić królowi, który zwracał na nas wyjątkową uwagę i kilkakrotnie przysyłał nam mięso ze swego stołu.

Zdziwiony tem Zidler zwrócił się do tłómacza z zapytaniem, cośmy takiego uczynili i czem zasłużyliśmy sobie na królewskie łaski.

Tłómacz zaczął opowiadać, że kiedy król ofiarował gościom trzy murzynki, był bardzo dotkniętym chłodem, z jakim przyjął je Zidler, że dowiedziawszy się o uczuciach naszych, ucieszył się ogromnie, jakkolwiek nie podzielał naszego gustu i znajdował, że tamte dwie były o wiele ponętniejsze.

A potem radość jego nie miała granic, kiedy się dowiedział, że chęć posiadania dziewczyny doprowadziła nas do walki; jak dalej dobry monarcha starał się nas pogodzić, przekładając, że jest ona dość duża i wystarczy dla nas obu i jak przyrzekł wówczas urządzić wspaniałą ucztę z nastaniem pełni i uczęstować nią wszystkich pod warunkiem jednak, że najlepsze kęski będą oddane nam...

Zerwaliśmy się obaj bladzi z przerażenia i wyciągnęliśmy w stronę ohydnego gospodarza rewolwerami uzbrojone ręce. — Zidler wstrzymał nas.

— Zapóźno — powiedział. — Oto do czego doprowadziło wasze szaleństwo!

Król nie rozumiał wcale naszego gniewu; przypuszczał, że przyczyną jego jest niezadowolenie z biednej małej, której mięso nie było dość kruche. Tłómaczył mi przez niegodziwego tłómacza, że sami sobie jesteśmy winni, bośmy wybierali najchudsze kawałki, a przecież on podsuwał nam najlepsze, najtłustsze.

Béthune i ja chorowaliśmy długo. I do dnia dzisiejszego przykro nam jest spotykać się. Co zaś do Zidlera, to jego potężny alzacki żołądek strawił doskonale całą tę przygodę. *I. H. Rosny.*

Do przyjaciela.

Szkoda, mój bracie, szkoda łez!
Człek żyje tutaj, by ten pies,
Bo choćby w obłoki wzlecieć rad,
Błotem go obrzuci podły świat.

Choćbyś Cherubem w życiu był,
Świat Cię podepce, by ten pył.
A wówczas wzlotów Twoich kres...
Więc szkoda, bracie, szkoda łez!

Praca, wysiłek... próżny trud;
Świat brudny wszędzie widzi brud!..
Niech życie takie porwie bies!
Och, bracie, szkoda, szkoda łez!

Obetrzyj oczy Twoje z łez,
Niech się nie cieszy byle pies,
Żeś pod ciosami świata padł
I zdeptan, pełzasz niby gad.

Śmiej się więc, bracie drogi, śmiej,
Z podłoty ludzkiej sobie kpij,
Z czołem wzniesionem w górę stań,
By nie drwił z Ciebie lada drań.

Choć Ci ból serce biedne żre,
Choć w niem tysiące piekieł wre,
Choć wyje z bolu niby pies,
Śmiej się, bo szkoda, bracie, łez!

Antoni St. Bassara.



Poradnik gospodarczy.

Przyjęło się już u nas, i że o uprawie pola pisze się i mówi dużo, ale z łąkami nic prawie się nie robi, zostawia się je na szarym końcu, choć łąka tyle warta co i orne pole i jakkolwiek łąka przy dobrej gospodarce da tak duże zyski, jak i pole, a nawet je przewyższy.

U nas na łąkach mamy różne rodzaje ziemi.

Jedne łąki są suche, drugie mokre — jedne ciepłe, inne zimne i sapowate, inne bagniste i kępiaste. Ciepłe łąki pokrywają się wcześnie trawą i wydają wczesny i obfity zbiór. Na łąkach mokrych, zimnych trawa rośnie później wolniej, łąka pokryta jest mchem i kępami pokrytemi ostrą kwaśną trawą.

Najważniejszem warunkiem polepszenia takich łąk jest obsuszenie za pomocą odpowiednich rowów, któreby odprowadzały nadmiar wody i wyrównanie wszystkich kęp przez rozrzucenie wczesną wiosną.

Na suchych łąkach wyrzucają krety liczne kupki ziemi, wczesną wiosną te gromady kupek z ziemi należy rozrzucić, gdyż to rozrzucenie równa się lekkiemu nawożeniu, rozrzucona ziemia tłumi mech i wszelki szkodliwy zarost.

Sucha łąka pobronowana rok rocznie po obeschnięciu, daje znaczniejszy zbiór siana, na łące takiej przez bronowanie wytępia się mech i wszelkie szkodliwe trawy, zaś trawa gęstwi i lepiej się krzewi. Przez miejsca poruszone przez bronę łatwiej dochodzi powietrze, które niszczy tam nagromadzone kwasy. Ale nie wystarczy osuszyć, pobronować i rozrzucić kretowiny, aby sobie zapewnić duży pożytek z łąki, ale należy tę łąkę choć od czasu do czasu znawozić i nawodnić w odpowiednim czasie.

Ciepłe i suche łąki zwłaszcza potrzebują nawadniania, jeżeli chcemy powiększyć zbiór siana. Pierwszy raz opuszcza się łąki wodą wczesną wiosną, skoro tylko trawa zaczyna się puszczać, drugi raz zaraz po zebraniu pierwszego siana. Wody nie należy puszczać odrazu dużo, aby stała na łące, ale puszcza się na przemian kilkakrotnie i zatrzymuje się.

Nawozić łąki najlepiej kompostami, które się robi z różnych odpadków przy gospodarstwie, dodając gnojówki, popiołu, odchodów ludzkich. Popiół zwłaszcza działa wyśmienicie i poprawia łąki znakomicie, ale należy rozrzucić wczesną wiosną, gdy ziemia już obeschła. Ogrzewa on znakomicie łąkę i dostarcza różnych pożywnych części potrzebnych do wzrostu traw, i koniczyny, zaś wyniszcza mech.

Mokrych łąk zimnych, sapowatych nie należy nawadniać, gdyż to szkodzi wzrostowi traw i wprost psuje łąki. Łąki powyższe należy najprzód odwodnić przez wybranie odpowiednich rowów, któremi ściągnie wszelka niepotrzebna woda i łąka się osuszy, następnie należy zniszczyć kwasy nagromadzone w ziemi i mech, którym przeważnie jest pokryta. Najlepiej taką łąkę silnie zbronować, zebrać mech, a nawieść marglu piaszczystego i poprawić kompostami. Ważną jest rzeczą, aby na taką łąkę zwozić i rozsypywać margiel wtedy, kiedy jest sucha, a nigdy nie wozić na łąki stojące pod wodą, bo margiel musi wyschnąć, skruszeć, rozłożyć się na powietrzu i wtedy tylko skutecznie działa. Najodpowiedniejszym czasem jest jesień lub pogodna wiosna.

Podobnie postępujemy z łąkami bagnistemi i pokrytemi kępami, z tą jednak różnicą, iż kępy z wiosną wyrównujemy przez rozrzucenie i zbronowanie.

U nas leżą całe obszary takich łąk, z których nie mamy żadnego prawie pożytku. Służą one jako nieużytki za liche pastwiska, na których wypasa się liche bydło, a które to obszary łatwo poprawićby można. Tanim kosztem zamienić je na doskonałe łąki, przynoszące znaczne dochody.

Jan Matysik.

Polowanie na głowy ludzkie.

Misjonarz de Snick w pewnem piśmie misyjnem podaje ciekawe szczegóły o obrzędzie pogrzebowym na wyspach filipińskich. Plemię Ifugaów mieszkające w górach jednej z tych wysp, niemal zupełnie jeszcze niecywilizowane, hołduje strasznemu zwyczajowi polowania na głowy ludzkie. I tak dwunastoletniemu chłopcu niejakiemu Malajonowi wracającemu wieczorem do swej wioski, „myśliwy" z innego plemienia uciął podstępnie głowę, zadając mu z tyłu straszny cios w kark. Misjonarz opowiada, że był obecnym na pogrzebie młodego Malajona i przypatrzył się tej całej pogańskiej, wstrętnej uroczystości.

Z rana już w dniu pogrzebu, rozlegały się w górach dalekiem echem, niesamowite hałasy. Poganie, przy dźwiękach swych pierwotnych instrumentów muzycznych tańczyli, a ponieważ uroczystość wymaga specjalnych kostjumów, tancerze więc mieli na sobie strój przepisany, składający się z białych kapeluszy i wstążek uwiązanych na nogach i rękach. Na plecach wisiał wór z wódką, z którego sterczały sztywne, długie włosy. Tańczyli rytmicznie uderzając w swe instrumenty zwane „Bang Bang". Tancerze zjawiali się w grupach złożonych z dziesięciu do piętnastu ludzi, a Ojciec de Snick mówi, że w chwili jego nadejścia taka właśnie grupa, wywijając swymi mieczami i tarczami, udała się do chaty, gdzie był zamordowany.

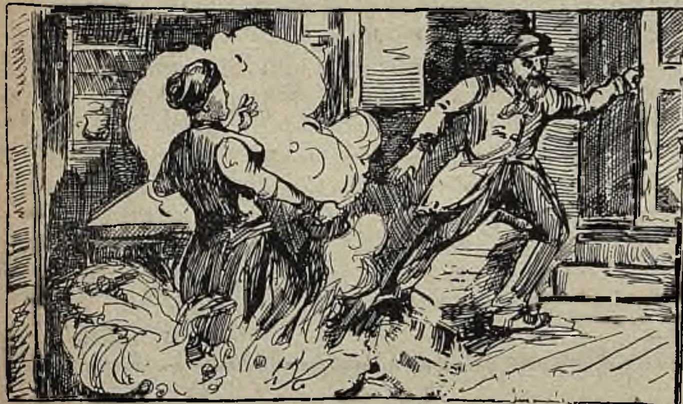
W jej wnętrzu znajdowało się ciało młodego Malajona w pozycji siedzącej, podparte kijami i na poziomo ułożonych deskach. Chłopiec dzierżył w ręku drewnianą dzidę. Ciało spuchnięte jak balon i o pękniętej miejscami skórze, przedstawiało widok obrzydliwy. Do trupa zbliżały się kolejno niewiasty wyjąc przeraźliwie. Po chwili rozległy się straszne przekleństwa: duch Malajona wysłuchać musiał całej historji swej śmierci i zaklinano go, żeby się zemścił na swym mordercy. Matka chłopca z tępem wyrazem twarzy, przykucnęła przed trupem i łkała od czasu do czasu. Roje much obsiadły tymczasem trupa. Popołudniu, tego dnia, starzy kapłani odprawili w lesie ofiary, a potem cała ta zgraja pobiegła do chaty. Trupa porwano śród dzikich ryków na ramiona. Malajon został zaniesiony w góry i umieszczony w jaskini, w której przedtem jeszcze złożono broń, a to w tym celu, by dusza zmarłego mogła wywrzeć swą zemstę na mordercy. Jaskinię uczestnicy pogrzebu po wielu ceremonjach zamurowali, a skoro po skończonej uroczystości wrócili do chaty zachowywali się jak szaleni i spili się w końcu do nieprzytomności, rodzajem piwa wyrabianego z ryżu.

KRONIKA.

Od Administracji. Niektórzy z naszych Czytelników żalą się, iż nie mogą nabyć „Roli“ w agencjach gazet. Właściciel agencji na zapytanie odpowiada, że „Rola“ w tym tygodniu nie przyszła. Wobec tego zawiadamiamy Czytelników, iż agencja, która rzetelnie wyrównuje należytości za „Rolę“ otrzymuje ją regularnie, a tej tylko wstrzymujemy jej wysyłkę, która mimo upomnień zalega z zapłatą i należytości nadesłać nie chce.

Rozwód po 50 latach. W łódzkim sądzie rabinackim była rozpatrywana ciekawa sprawa. Mianowicie 70-letnia Małka Turycowa oskarżyła swego małżonka o zdradę małżeńską, żądając rozwodu. Należy zaznaczyć, że na drogę sądową o rozwód wystąpiła Turycowa po 50-letniem pożyciu, że małżeństwo to ma czworo potomstwa w starszym już wieku. Sąd rabinacki rozwodu udzielił, a sędziwy mąż wyraził zadowolenie z decyzji sądu, ponieważ, jak twierdził, ostatnie lata swego życia będzie mógł spędzić w spokoju, bez scen zazdrości swej swarliwej małżonki.

Spalona przyjaciółka. Z Warszawy donoszą: W ubiegły czwartek rozegrała się w Warszawie wstrząsająca scena, mająca za podkład nieporozumienie i zawód miłosny. Oto w domu przy ul. Konarskiego 8, niejaki Klemens Kawalec oblał przyjaciółkę, z którą żył, Kazimierę Aksamitową naftą i podpalił ją.



Kiedy żywa pochodnia zaczęła płonąć, Kawalec przerażony czynem wybiegł na korytarz, wołając ludzi na pomoc. Pogotowie ratunkowe przewiozło Aksamitową ciężko poparzoną w stanie beznadziejnym do szpitala. Aksamitowa płonąc krzyczała wobec sąsiadów: „spaliłeś mnie, a teraz mnie ratujesz“. Słowa te są o tyle charakterystyczne, że Kawalec stale utrzymuje, iż Aksamitowa podpaliła się sama.

Najazd pcheł na Ukrainę. W kilku wsiach w okolicach Płoskirowa wybuchła epidemja, której ofiarą padło kilka tysięcy mieszkańców. Ukazały się bowiem w ogromnych masach pchły, napastujące zarówno ludzi jak i zwierzęta. Zrozpaczeni mieszkańcy opuszczają swe osiedla i wynoszą się na pola. Władze sanitarne przedsięwzięły walkę z owadami. Środki dezynfekcyjne w formie płynów i proszków okazały się niewystarczające, mają więc być użyte gazy trujące, celem wytępienia owadów, które masami zalegają mieszkania i obory.

Order dla pijaków. Rząd sowiecki nosi się z zamiarem stworzenia dla pijaków... „orderu“. Nie będzie to „order“ zaszczytny, lecz poprostu medal karny, który będzie musiał nosić przez kilka tygodni spotkany na ulicy pijak, przyczem w razie niezastosowania się do powyższego zarządzenia, będzie narażony na wysoką karę pieniężną, lub areszt. „Order“ ten ma wyobrażać flaszkę z wódką. Mamy wrażenie, że rząd sowiecki nie nadąży wprost z produkcją tego „orderu“, gdyż liczbę pijaków obliczają w Rosji na miljony.

Kandydat z obciętym nosem. Podczas ubiegłej akcji wyborczej w Jugosławji we wsi Dalinowgrad przemawiał na wiecu kandydat na posła Sawidzewicz. Mówił, aż nagle z tłumu wybiegła jakaś dziewczyna i nim ktoś mógł się zorjentawać, nożyczkami obcięła nos mówcy. Ten zaś zdążył wyjąć rewolwer i celnym strzałem położył ją trupem. Podobno była to zemsta uwiedzionej.

Straszliwy cyklon nad dorzeczem Drawy. Nad całem dorzeczem Drawy i nad okolicami Petawy przeszedł w ubiegłym tygodniu silny cyklon. Burza była połączona z gradobiciem, które w okolicy miejscowości Collos zniszczyło zupełnie zbiory w winnicach tamtejszych. Bardzo silnie burza zaznaczyła się w Petawie. Niemal każdy dom w tem mieście został uszkodzony. Wicher w jednej z tamtejszych will zerwał wieżę i poniósł ją o 100 metrów dalej na łąkę. Dach kościoła został zerwany i poniesiony daleko poza miasto.

Pogrzeb goryla. W wędrowaym cyrku podróżującym po Węgrzech, zachorował wspaniały goryl i, zanim wezwano weterynarza specjalistę, zdechł. Właściciel cyrku, spiesząc na występy do sąsiedniego miasta, nie miał czasu zająć się grzebaniem trupa goryla, lub preparowaniem skóry i szkieletu. Trup goryla okryty jakąś szmatą, rzucony został narazie do rowu w pobliżu małej wioski w Karpatach, w okolicy Marmarosz-Szigeth. Czas upływał, a cyrk, wędrując z miasta do miasta, oddalił się znacznie od tych okolic. O trupie goryla zapomniano zupełnie. Po kilku tygodniach jeden z okolicznych chłopów, przechodząc drogą, odkrył przypadkowo zagadkowego trupa, owiniętego w tkaninę. Zaalarmował więc całą wieś, i wszyscy okoliczni chłopi próżno biedzili się nad wyjaśnieniem zagadki tajemniczych zwłok. Wreszcie jeden z wieśniaków przypomniał sobie, że w okolicy tej bawił niedawno pewien bogaty cudzoziemiec, który zapuszczał się w góry na dalekie wycieczki. Zdecydowano, że napewno złoczyńcy zabili nieostrożnego turystę i ograbili go nawet z odzieży. Poczciwi chłopi po namyśle postanowili pochować nieboszczyka. Włożono trupa goryla do pięknej trumny, przeniesiono na cmentarz. a ponieważ nie było wiadomo jakiego wyznania był „bogaty cudzoziemiec“, więc i pastor i rabin odprawili modły nad trumną. Gdy po pewnym czasie wykryto prawdę, chłopi mieli miny niemądre.

Walka z pojedynkiem. Dzięki nowemu kodeksowi karnemu, mającemu wkrótce wejść w życie we Włoszech, pojedynki prawdopodobnie ustaną zupełnie, a w każdym razie należeć będą do wielkich rzadkości. Dla wyzywającego przewidziana jest grzywna w rozmiarze 2 tysiące lirów, dla schwytanych na placu spotkania pół roku więzienia, a 5 lat więzienia jeśli wynik pojedynku będzie śmiertelny. Nawet sekundanci, nawet ludzie roznoszący wieści o pojedynku, skazywani będą bezlitośnie na zamknięcie w więzieniu. Surowe kary grożą również i tym, którzy ujemnie odzywać się będą o człowieku, odmawiającym dania zadośćuczynienia z bronią w ręce. Stanowczość Mussoliniego spotkała się z największem uznaniem w całych Włoszech.

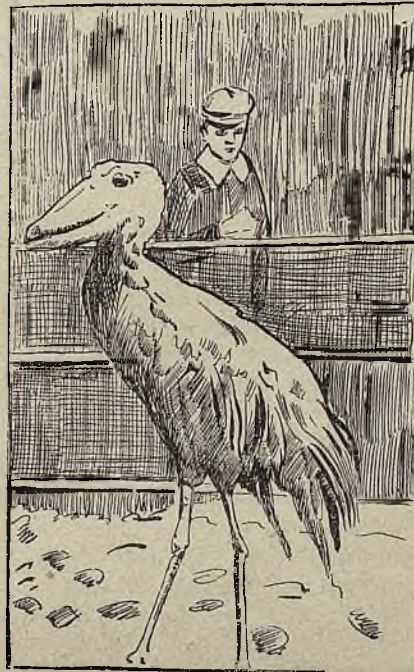
Tragikomiczna przygoda uczonego. W dniu 12 z. m. po południu na linji lokalnej do Prieze pod Cannes (Riviera) zdarzył się komiczny wypadek, który szeroko omawiany jest na całej Riwierze. Pewien podróżny, starszy zamożny obywatel, czekając na jednej ze stacyj na połączenie kolejowe do Prieze, urządził sobie drzemkę na trawie obok stacji. Przebudziwszy się

spostrzedł, że pociąg co tylko ma ruszyć. Coprędzej pobiegł, a wsiadłszy do wagonu, zauważył z przerażeniem, że ubranie jego pokryte jest rojami mrówek. Ponieważ przedział był pusty, zdjął ubranie i zaczął wytrząsać z niego mrówki. W tej chwili zdarzył mu się jednak drugi, jeszcze przykrzejszy wypadek: mianowicie gdy wytrząsał za oknem przedziału dolne ubranie, silny pęd wiatru wyrwał mu je z ręki i uniósł na skały. Na następnej stacji do przedziału weszło kilka pań. Zaledwie pociąg ruszył, zauważyły one siedzącego w kącie mężczyznę bez spodni i sądząc, że jest to warjat, który ma zamiar popełnić morderstwo, jak to niedawno stało się w pociągu pod Bologne, przerażone pociągnęły za hamulec bezpieczeństwa. Mimo protestów, pasażera wyprowadzono z przedziału i odstawiono do kancelarji kolejowej. Po krótkiem przesłuchaniu u naczelnika stacji, zajście się wyjaśniło i wkrótce potem wśród homerycznego śmiechu współpodróżnych, niefortunny pasażer wsiadł znowu do pociągu, tym razem jednak już w spodniach, które pożyczył mu naczelnik stacji.

Z dziewczyny chłopiec. W wiosce portugalskiej Vinhais żyła 20-letnia, przystojna wieśniaczka, Ines dos Anjos. Panna Ines miała wielu adoratorów, ale specjalnymi względami cieszył się młody syn wójta. Odbyły się zaręczyny, ale rodzice narzeczonego, zaniepokojeni dosyć dziwnemi pogłoskami, kursującemi na temat ich przyszłej synowej, zaczęli się mocno zastanawiać, czy wogóle możliwem będzie małżeństwo ich syna z piękną Ines. Sprawa przedstawiała się dosyć drastycznie, gdyż po wsi coraz powszechniej zaczynano opowiadać, że narzeczona syna wójtowego jest chłopakiem, a nie dziewczyną. Ostatecznie za radą proboszcza rodzice narzeczonego zabrali pannę Ines do Lizbony do lekarza. Ten po uważnem zbadaniu oświadczył, że panna Ines jest bardziej chłopcem niż dziewczyną i że wystarczy dokonać niewielkiej operacji, aby zdecydować o płci. Istotnie operacja została przeprowadzona i panna Ines powróciła do wsi, gdzie do ksiąg miejscowych wpisano ją jako Ignacego dos Anjos. Teraz jednak zaczęła się dopiero historja. Ani syn wójta, ani była panna Ines, obecnie Ignacy, nie chcieli nic słyszeć o zmianie dotychczasowych zamiarów, co oczywiście wywołało łatwo zrozumiałe zgorszenie całej wsi. Napróżno wójt ofiarowywał Ignacemu dos Anjos córkę zamiast syna, tamten nie chciał słyszeć o niczem. Przed kilku dniami syn wójta i dawna panna Ines zniknęli ze wsi, dając opinji publicznej sposobność do opowiadania pikantnych historyjek. Poczęto ich szukać, ale bez skutku. Żandarmerja przypuszcza, że oryginalni kochankowie pod zmienionemi nazwiskami wsiedli na jeden ze statków odchodzących do Ameryki Południowej.

Miljonerzy niemieccy. Niemcy skarżą się na swą biedę i niemożność spłacenia rat odszkodowań. Tymczasem nie jest znów tak źle z Niemcami, skoro niemieckie dane statystyczne wskazują że w samym Berlinie znajduje się 525 osób, posiadających nie mniej, jak miljon marek majątku. W Hamburgu 155 osób przyznaje się do posiadania majątków miljonowych. Trzecie miejsce zajmuje Lipsk z 98 miljonerami, a dalej idą kolejno Frankfurt nad Menem z 88, Monachjum z 79, Kolonja z 75, Düsseldorf z 63, Drezno z 51, Chemnitz z 32, Essen z 28, Duisburg z 16, Elberfeld z 15, Dortmund z 10 i t. d. Jeżeli zaś wziąć pod uwagę cały majątek obywateli, podlegający opodatkowaniu, to znów Berlin stoi na pierwszem miejscu, bo obywatele jego płacą podatek od 12 miljardów 500 miljonów marek. Dopiero daleko poza nim stoi Frankfurt nad Menem z majątkiem w sumie 2 miljardów 28 miljonów. Bardzo blisko Frankfurtu stoi Kolonja z 2 miljardami 9 miljonami. Dalej idą: Monachium 1.7; Lipsk 1.5; Düsseldorf 1.39; Drezno 1.314; Essen 1.29 miljardów i t. d. Nie mają więc chyba powodu do narzekania ci, którzy tak wielkie krzywdy wyrządzili wszystkim krajom, zajętym przez ich armje podczas wojny.

Cuda nowoczesnej chirurgji. Od wielu lat żyje w ogrodzie zoologicznym w Lipsku stary flaming, jeden z niezmiernie rzadkich ptaków egzotycznych. Flaming bardzo się zaprzyjaźnił z młodszą samiczką tej samej rasy, która kiedyś w walce z innemi ptakami straciła oko. Było to piękne widowisko, gdy oba ptaki z głośnym krzykiem fruwały po ogrodzie, gdzie wszędzie miały swobodny dostęp. Zeszłej jesieni chciano starego flaminga wpakować do zimowej klatki. Nie spodobało się to ptakowi i w żaden sposób nie można go było złapać. Nocował na wolnem powietrzu. Nagle spadły śniegi i zapanowały mrozy. Pewnego razu flaming przestał całą noc na jednej nodze w śniegu. Następnego dnia z łatwością dał się złapać. Okazało się, że egzotyczny ten ptak, przyzwyczajony do upałów odmroził sobie zupełnie nogę. Mięśnie odpadły, pozostała tylko kość. Następnego dnia kość złamała się i flaming stał się kaleką. Długo tak cierpiał, aż wreszcie weterynarze ogrodu wpadli na pomysł wprawienia mu protezy w postaci sztucznej nogi z aluminium, bardzo misternie wykonanej przez lipskiego ortopedystę. Flaming ma się od tej pory znakomicie i stoi z zadowoleniem na swej sztucznej nodze w towarzystwie bezokiej przyjaciółki.



Szyby w sukniach. Niedawno w pewnym eleganckim domu zabawowym londyńskim ukazała się młoda dama, której elegancka suknia miała na wysokości pół pleców bardzo misternie przybraną, czworokątną szybę. Nic dziwnego, że tak oryginalny strój wzbudził zaciekawienie i zazdrość tych pań, które niczem podobnem pochwalić się nie mogły. Podobno w kołach prywatnych Londynu tego rodzaju stroje z szybami cieszą się już dużą popularnością i to od dłuższego nawet czasu. Popularność ta zresztą stale wzrasta, to też przy obecnych wymaganiach i szklarze mogą coś nie coś zarobić, co jest o tyle dobre, że w ciągu lata w tym właśnie zawodzie panuje niezwykły zastój. Jak się wprawia takie szyby w sukni? Poprostu na plecach wycina się materję w czworokąt, robi się w ten sposób miejsce na szybę, która tem silniej działa, że po bokach elegantki umieszczają zazdroski z pereł szklanych oraz firanki. Moda zezwala na szyby nietylko czworokątne, lecz także okrągłe. Przy wielkich uroczystościach używa się szyb kolorowych, i to dostosowanych do barwy sukni. Suknie wieczorowe i balowe mają przeważnie szyby stylizowane gotyckie w barwnem wykonaniu z jedwabnemi koronkami oraz drogiemi kamieniami.

Olbrzymi żółw. Z Beach Heaven (Nowy Jork) donoszą, że Polak Henryk Bordzik, rybak, schwytał ol-

brzymiego żółwia, ważącego 1.400 funtów. Żółw ten jest jednym z najrzadszych okazów życia morskiego jaki kiedykolwiek został schwytany w sieć i zaciągnięty do doku rybackiego, gdzie wystawiono go na widok publiczny. Osobliwy ten olbrzym morski mierzył 8 stóp długości, 4 stopy szerokości, był 3 stopy i 6 cali gruby, a głowa jego miała 18 cali średnicy. Urzędnicy miejskiego ogrodu w Nowym Jorku zakupili ten rzadki okaz natychmiast, płacąc zań 2.000 dolarów.

Skomplikowane krewieństwo. Pewien farmer w stanie Virginia (Ameryka), wdowiec, wydał swoją córkę za sąsiada, który również był wdowcem, ojcem dorosłej córki. Spodobała się ona farmerowi i zgodziła się ona wyjść za niego zamąż. Wobec tego farmer stał się przyrodnim dziadkiem własnej córki, zięciem swojego zięcia, córka zaś jest obecnie teściową ojca. Młoda zaś jego żona może uważać się za teściową rodzonego ojca, będącego teściem swojego teścia etc. W tak zawiłych kombinacjach pokrewieństwa znalazłby Mark Twain niejeden temat do humoreski.

Pijaństwo w Ameryce. Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych wyrób i sprzedaż wódki są wzbronione, a jednak urzędowe dane statystyczne stwierdzają, że w ciągu roku ubiegłego zaaresztowano w Stanach Zjednoczonych przeszło 80.000 osób za robienie awantur w nietrzeźwym stanie i skonfiskowano w składach przemytniczych, potajemnych gorzelniach i u t. zw. „bootlagerów" około 10 miljonów litrów najrozmaitszych napojów wyskokowych. Ponieważ przeciętna kara, której podlegają ludzie, popełniający wykroczenia przeciwko przepisom anty-alkoholowym, wynosi 140 dni aresztu i 150 dolarów grzywny, przeto suma wyroków stanowi za przeciąg 12 miesięcy 3.000 lat więzienia oraz 12 miljonów dolarów kar miesięcznych. A nie należy wszak zapominać, że większość amerykańskich pijaków wymyka się jednak z pod kontroli czujnych władz.

Nieprzyjaciółka kultury. Na rzece Kanzas jest samotna wyspa, a na niej wielka pieczara. Żyje tam pewna kobieta z dwoma 6-letnimi synami i starym ojcem. Rodzina żywi się tem, co matka złowi i upoluje. Niedawno odwiedził zagadkową mieszkankę pieczary pewien dziennikarz i dowiedział się, że tajemnicza kobieta żyje tam dlatego, iż nienawidzi dzisiejszego społeczeństwa i jego kultury. Już za młodu pędziła żywot na wzór dzikich Indjan, ale zmuszano ją żyć na łonie kultury i to zniechęciło ją ostatecznie do świata. Przed 6 laty wzięła sobie męża, z którym miała dwu synów. Na zapytanie dziennikarza odrzekła, że za żadną cenę nie chce wracać na łono cywilizacji.

Adam i Ewa. Że nadmiar dolarów wpływa częstokroć fatalnie na władze umysłowe, dowodzą tysiączne zwarjowane pomysły najrozmaitszych amerykańskich królów szmalcu, powideł, parmezanu i innych. Ostatnim tego przykładem jest amerykański rolnik S. P. Dinsmoor, który nabył w stanie Kansas ogromne tereny, aby odtworzyć na nich dokładną kopję raju i przeżyć w nim wrażenia Adama. Raj obecnie jest już wykończony w najdrobniejszych szczegółach wzorowanych ściśle na Biblji. Jest on ozdobiony wieloma posągami z drzewa, ponieważ Dinsmoor oprócz dolarów posiada jeszcze talent snycerski. Gdzie tylko więc się dało, umieszczono figury i całe grupy alegoryczne, z pośród których specjalną uwagę zwraca olbrzymia postać króla piekła z kolosalnemi widłami w łapie. W nocy jest ona oświetlona potężnym reflektorem, rzucającym na nią snopy czerwonego i zielonego światła. Budowa raju z najdrobniejszemi odpowiadającemi „prawdzie historycznej" szczegółami trwała przez lat 30. Wreszcie obecnie, gdy już rozłożysta jabłoń z prawdziwym wężem imituje majestatycznie „Drzewo wiadomości złego i dobrego" mr. Dinsmoor spostrzegł, że brak jest mu Ewy i mimo swych 81 lat postanowił zakrzątnąć się około znalezienia odpowiedniej imitacji. Ewy tej nie dostarczyło mu własne żebro, lecz pewna przyzwoita rodzina w osobie swej nie bardzo już młodej, lecz pięknej i dobrze wychowanej córeczki. Ślub odbył się przed rokiem a dzisiaj ten model pierwszych ludzi posiada już syna, którego w myśl całkowitości idei nazwano Kainem. Podobno szczęśliwi rodzice z niecierpliwością oczekują na Abla, aby jak najprędzej mógł go zgładzić pierworodny Kain, coby dla papy Dinsmoora było źródłem zrozumiałego zadowolenia. Tymczasem nietylko bezpośrednie sąsiedztwo i stan Kanzas, ale cała Ameryka bawi się wspaniale rajem Dinsmoora, w którym ten podejmuje gościnnie ciekawych, nic sobie nie robiąc z ich zupełnie naiwnych drwin.

Spór o żonę. Zdarzało się nieraz, że ktoś sprzedawał psa, który potem uciekał od swego nowego pana i wracał do dawnego. Powstawało w takich wypadkach pytanie, czy należy zwrócić pieniądze, czy też istnieję obowiązek zwrócenia kupionego psa. Ale zupełnie inaczej ta sprawa wygląda, gdy n. p. przedmiotem targu jest nie pies lecz żona. Wprawdzie tego rodzaju handel nie zdarza się dziś, choć był swego czasu dozwolony przez angielskie władze kolonjalne; tembardziej więc zwraca uwagę wypadek, który miał miejsce obecnie w Johannesburgu (w Afryce południowej). Tam właśnie pewien poszukiwacz złota, znalazłszy się w kłopotach pieniężnych postanowił sprzedać żonę. A że przedmiot sprzedaży w bardzo dobrym był jeszcze stanie, więc zgłosił się kandydat do kupna, kolega sprzedającego, a że miał on sporo pieniędzy więc prędko porozumiano się co do ceny. Wręczenie „towaru" nastąpiło bez przeszkód, a sprzedający otrzymał w dobrym stanie będący samochód ciężarowy i 10 funtów (około 450 złotych) gotówką. Całą więc sprawę możnaby uważać za załatwioną, gdyby nie to, że kobieta, której szybko sprzykrzył się nowy mąż, spakowała pewnego dnia manatki i wróciła do dawnego męża i władcy. Można sobie wyobrazić nabywcę, gdy po przybyciu do domu nie zastał kobiety i stwierdził, że ognisko było wystygłe. Coprędzej udał się do swego kolegi, żądając zwrotu własności prawnie nabytej; natrafił jednak na zacięty opór obojga małżonków. Jaki to był opór, można wniośkować z tego, że pobity i pokaleczony w parę godzin później zgłosił się na policję. Na policji oświadczono mu, że tylko rząd może coś na to poradzić, wobec czego odbyć się ma proces. Bo sprzedawca nie chce zwrócić nabywcy zapłaty, tłómacząc się, że spełnił swoją część umowy, a nie obowiązywał się wcale, ani zresztą nie posiada siły po temu, by zmusić żonę do pozostania w domu nabywcy.

Lekarze i szpitale w powietrzu. Władze australijskie postanowiły zorganizować pomoc lekarską dla najbardziej odległych miejscowości. Sposób, w jaki rząd australijski rozwiązał to trudne zagadnienie, zwraca uwagę swą nowoczesnością. Sześciu doktorów, którzy będą otrzymywali pensję od 800 do 1000 funtów, będzie miało do rozporządzenia 6 aeroplanów. Doktorzy, przebywający na specjalnych stacjach sanitarnych, będą udawali się w drogę po otrzymaniu wezwania w drodze radiotelegraficznej. W ten sposób zostaje zapewniona pomoc chirurgiczna i pomoc lekarzy specjalistów w 11 szpitalach położonych w głębi Australji. Doktorzy będą udzielali pomocy bezpłatnie, podobnież nie będzie pobierana żadna opłata przez towarzystwa lotnicze, jeżeli aeroplany będą używane w charakterze ambulansów.

RZECZY CIEKAWE.

Ceny żon.

Sfery robocze i biedniejsze w Indjach wciąż jeszcze sprzedają dziewczęta, posiadające odpowiednie warunki do zamążpójścia. Tłumaczy się to tem, że przyszła żona stanowi pożyteczną przedewszystkiem siłę roboczą. Wyższe kasty natomiast dają swym pannom na wydaniu posag, albowiem tam żona zajmuje się tylko gospodarstwem, zaś utrzymanie domu i praca na mężowskich spoczywa barkach.

Pomiędzy Hindusami dziewczęta wychodzą zamąż w bardzo wczesnym wieku. Gdy nie trafi się mąż, wówczas panna poślubia symbolicznie kwiat, strzałę, drzewo i t. p., aż do czasu, gdy nie nadarzy się prawdziwy narzeczony. W niektórych częściach Indji małżeństwa śród dzieci są na porządku dziennym i oblubienica dziesięcioletnia nie jest rzadkością. O ile podaż na dziewczęta jest wielka, a zapotrzebowanie małe, wówczas sprzedaje się dziewczęta. Cena uzależniona jest od wieku towaru, wynosi ona mniej więcej około 100 rupij, czyli 300 złotych.

Na nasze stosunki jest to cena zbyt wygórowana, zapłacić bowiem 300 złotych za narzeczoną i przez jakie 2 lata wycierać jej jeszcze nosek, a potem ze 6 lat posyłać na pensję, po to, by wreszcie kto inny się z nią ożenił, to doprawdy nie interes.

Wychowanie dzieci u dzikich.

Różnie bywa na świecie, to prawda, bo nieraz i w Europie czy w Ameryce północnej zdarzają się rodzice, wychowujący swe dzieci sposobem dziwnie pierwotnym. Jeśli jednak chodzi o to, by w ten sposób chował je ogół, nie wyjątki tylko, to takie wypadki znaleźć możemy jedynie u ludów pierwotnych w Afryce czy Australji. Plemię massajów w Afryce środkowej np. uważa za konieczne, by chłopiec mający zaledwie lat trzy czy cztery, wybierał sobie dziewczynę w tym samym wieku; od chwili wyboru ta dziewczyna jest jego przyjaciółką i towarzyszką zabaw. Malec musi się uczyć używania sieci oraz innych przyborów łowieckich czy rybackich. — Gdy uda mu się złowić rybę, jego przyjaciółka brać się musi do pracy, zmleć między dwoma kamieniami nieco jęczmienia i w tej mące upiec rybę, którą potem oba dzieciaki zjadają. Kobiety jadają tam zaraz po przyrządzeniu placka jęczmiennego i ryb; część przeznaczoną dla mężczyzn i dzieci chowa się, a każdy z nich przychodzi, gdy głodny i je tyle, ile mu się podoba. Reszta życia plemienia jest nadzwyczaj prosta. Zależnie od wieku dzieci pilnować muszą kóz, bydła czy koni. Oczywiście, o szkole i nauczycielu niema tam mowy; uczą się one wielu rzeczy jedynie drogą doświadczenia, patrząc na innych i przysłuchując się rozmowom, prowadzonym przez starszych, którzy nigdy dzieci od siebie nie odalają, gdy o czemś mówią.

Najmniejsi ludzie na świecie.

Karły są oczywiście rzadkością. Powszechne przekonanie, jakoby karły rodziły się z małżeństw karła z karlicą, jest pozbawione podstaw. Karlice są zazwyczaj niepłodne, natomiast karzeł, ożeniony z kobietą normalną, ma z reguły normalne potomstwo. „Karzełkowatość“ nie jest bynajmniej dziedziczna.

Głośne było wesele, jakie w r. 1710 Piotr Wielki wyprawił parze karłów. Na uczcie weselnej było obecnych 72 karłów. Na stole zastawiono nakrycia proporcjonalne do wzrostu biesiadników.

Król Stanisław August miał na swym dworze karła Bebe, rodem z Lotaryngji, który przy urodzeniu ważył 375 gr. przy wzroście 20 cm. Bebe dożył 23 lat, a trumna jego wynosiła zaledwie 55 cm. długości.

Z pośród wszystkich ludzi nienormalnych najsympatyczniesze są karły: nie budzą uczuć wstrętu lub litości.

Amerykański król cyrkowy Barnum zawdzięczał swe powodzenie karłowi Karolowi Strattonowi, który pod pseudonimem „Tom Thumb“ objechał niemal wszystkie państwa starego i nowego lądu, zbierając znaczne sumy.

Karły dożywają czasem pięknego wieku: w zeszłym roku umarł w Ameryce karzeł Darius A. Alden, licząc lat 84, przed kilku miesiącami 88-letni karzeł Ehe Mah. Ostatni był znaym śpiewakiem kabaretowym w Chicago.

Popularna niedawno karzełka Lucia Zarate ważyła w wieku 15 lat niecałe 5 funtów. Rekord należy jednak do „księżniczki Pauliny“, Holenderki, która w wieku lat 4 była wysoka 38 cm. i ważyła 6 i pół funta!

Pod koniec ubiegłego stulecia przyjechał do Europy 60-letni karze łz potężną brodą, ongiś błazen sułtana i gość szacha perskiego.Do swego nazwiska Abdurrhaman dodawał tytuł „pasza“, który uzyskał na dworze tureckim. Był to karzeł o dużej inteligencji, mówił biegle wielu językami.

W Berlinie mieszka karzł G. T. Ulpis, znany komik, który ożenił się z kobietą normalnego wrzostu i ma dwoje normalnych dzieci.

Królowie i ich majętności.

Jest to rzeczą od dawna dowiedzioną, że książęta i królowie zajmują się bardzo często pracą, nie odpowiadającą ich dostojnym stanowiskom. Historja przytacza nazwiska książąt, ktozry uprawiali sami swoje ogrody, hodowali kury, a nawet doili krowy. Niektórzy królowie francuscy interesowali się oranżerją i winnicą. Ekscesarz Wilhelm znany jest z tego, że lubi bardzo rąbać drzewo. Król Emanuel jest namiętnym zbieraczem monet. Król belgijski Albert zagębia się chętnie w naukach technicznych i lubi sam prowadzić pociąg. Ks. Walji i ekscar bułgarski Ferdynand też pasjonują się do parowozów. Król Alfons VIII ma szczególne zamiłowanie: zbiera on mianowicie wszystką broń, bomby, ich odłamki itp. relikwje, któremi chciano skrócić jego życie. Ubiegłej wiosny w czasie pobytu króla w Londynie odkryto spisek na jego życie; sprzysiężony posiadał browning najnowszego systemu, który naturalnie Alfons dołączył w tej chwili do swojego zbioru. Kolekcja ta posiada i flaszeczkę do karmienia dzieci; trucizną w niej zawartą próbowano królewicza-niemowlę otruć. Jest też i szkielet konia, zabitego bombą, w czasie zamachu na króla, w dniu jego ślubu.

Rozpowszechnienie raka.

Znany medyk szwajcarski, prof. Pittard z Genewy, ułożył mapę Europy, wykazującą, jakie rozmiary przybiera klęska raka wśród poszczególnych klas i narodów, zamieszkujących Europę. Z niezwykle cennego dokumentu tego wynika, że straszliwa ta choroba pochłania największą stosunkowo ilość ofiar z pomiędzy szczepów t. zw. „długogłowych“ zamieszkujących północne kraje Europy. Śródziemnomorskie natomiast i adrjatyckie ludy, należące do rasy „okrągłogłowych“, wykazują znacznie większą odporność organizmu na wszelkiego rodzaju złośliwe nowotwory.

Nowe wydawnictwa.

Kalendarz Kółek rolniczych na rok 1928 już wyszedł z druku. Jest to już rocznik 20-ty tego pożytecznego i poczytnego wydawnictwa, redagowanego dla wsi polskiej. Okazały, prawie 400-stronnicowy tom zdobi barwna okładka komponowana przez artystę-malarza Jana Rubczaka. Dobór nader cennych i bogato ilustrowanych utworów i artykułów, zarówno literackich, ludoznawczych, jak i rolniczych, tudzież bardzo obszerny dział wiadomości ciekawych i pożytecznych czynią to wydawnictwo bardzo cenną książką o trwałej wartości dla rolników.

Cena ze egzemplarz broszurowany 2.40 zł. (z przesyłką 3 zł.), a 2.80 zł. za twardo oprawny (z przesyłką 3.50 zł.). Zamówienia przyjmuje i wysyłkę uskutecznia: Małopolskie Towarzystwo rolnicze w Krakowie, plac Szczepański L. 8 po nadesłaniu należytości czekami P. K. O. Kraków 405.640.

Kalendarza Rolnika Polskiego na rok 1928. Nakładem Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie, Spółki akcyjnej eksploatacji soli potasowych we Lwowie i Przemysłu superfosfatowego w Warszawie, wydany został Kalendarz „Rolnik Polski". Kalendarz Rolnika Polskiego nabyć można we wszystkich spółdzielniach rolniczo-handlowych.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 paźdz. b. r.

Pszenica .	50·50—51·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	32·00—33·00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	36·00—39·00		

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Wł. z Nt.:** Utwór prozą włączyliśmy do konkursowych, a ten niby wiersz, to przecież dziwoląg, a nie wiersz. Na dowód przytaczamy go w całości: „Czemuż, ach czemuż drzemiesz nad rzeką dziewczyno czarnooka? Komuż, hej komuż w przestrzeń daleką przesyłasz tęskne echa? Wiatr szumi, świszcze... W oddali gliszcze ponury tworzą obraz, a nurty rzeki, het w świat daleki niosą dziewczyny postać". No i niech tu kto zgadnie, co to jest! — **Maryla „Widz"** w O.: Obietnica odwiedzenia ucieszyła nas bardzo. Redaktor urzęduje codziennie z wyjątkiem niedziel od 3 do 8 popołudniu. Przypuszczamy, że i Pani taka milutka, jak Jej wierszyki. Pragniemy, aby ten urlop nadszedł jak naprędzej. — **Jadwiga Lipska** w Z.: Niech Pani nie zazdrości Maciusiowi! on biedny, bardzo biedny chłopczyna. — **Stanisław Piegza** w M.: I po co psuje Pan papier na wiersze. Poezje najpierw trzeba mieć w duszy, żyć nią i myśleć nią, a dopiero potem utrwalać ją na papierze. Inaczej szkoda czasu. W koszu! — **Marja Wawrzykówna** w P.: Za życzliwość i nowego abonenta serdeczne dzięki. Nie jest tak źle, jak Pani przedstawiła. Szczęścia dużo Pani posiada, że ono nie jest tak na zawołanie, to na to jest lekarstwem cierpliwość. Wzajemnie pozdrawiamy. — **J. Gawlik** w W.: Za miły list serd. dzięki. Numera okazowe posłane; Kalendarz dla Pana także. Cześć.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

I.

(Ułożył Szewczuk Włodzimierz z J.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Sprzęt domowy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Prorok żydowski.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Metal.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owoc.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dostojnik państwa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Państwo.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nawóz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Modlitwa w Mszy św.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Służy do lepienia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ryba.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzemieślnik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę amerykańskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej zmora.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część ubrania.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przybór balowy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ciężarki.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kwiaty.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.

Litery środkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko dobroczyńcy ludu wiejskiego.

II.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

■ ☆ ■ ☆ Nazwisko króla polskiego.
■ ☆ ■ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ■ ☆ Żyją w wodzie.
■ ☆ ■ ☆ Poskładane drzewo.
■ ☆ ■ ☆ Potrawa.
■ ☆ ■ ☆ Napój.
■ ☆ ■ ☆ Napój.
■ ☆ ■ ☆ Inaczej koniec.

Litery w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół dadzą nazwy dwóch miast w Polsce.

2. Łamigłówka.

(Ułożyła G. Urbanówna).

a	a	a	a	a	a	a	a	a	a
a	a	a	a						
a	a	b	c						
d	e	e	i	i	j				
j	j	l	l	l	ł				
ł	m	m	n	n	o				
u	u	o	o	r	r	s			
s	w	w	w	y	z				

Z podanych liter ułożyć ośm imion żeńskich, których początkowe litery dadzą nazwę miasta europejskiego.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Fr. Macioł).

Drugie i trzecie czytelnicy znają,
Bo je wszystkie drzewa bez wyjątku mają.
Drugie zaś z pierwszem rolnik robi w lecie,
A co? pomyślcie tylko troszkę, a pewno [zgadniecie.
Całość, to nazwa jest pewnego ptaka,
Dobrze wszystkim znanego, a więc mów-[cie jaka?

II.

(Ułożył Wł. Gleń z M.).

Pierwsza to litera, łatwo ją znajdziecie,
W muzyce napewno też będzie i trzecie,
Czwarte piąte, litera w greckim alfabecie,
A piątą i piątą mówi małe dziecię,
Całość to człowiek nieszczęśliwy w świecie,
W Polsce ich dużo — niestety — znajdziecie.

4. Układanki.

(Ułożył F. Czakon z P.).

da, da, dy, kie, klon, mę, o, o, pa, po, śnie, strą, wcze, wia, za, zi.

Z powyższych zgłosek ułożyć znane rolnikom przysłowie.

II.

dy, cier, cno, cno, cno, cze, gdy, i, jest, jesz, kasz, kto, ko, niąc, śnie, peł, pisz, po, szu, tę, tli, tru, ty, ty, tyl, wym.

Z tych zgłosek ułożyć piękne słowa Mickiewicza.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 14 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 39 „Roli": 1. Logogryf: Warszawa. 2. Logogryf: Logogryf. 3. Szarady: Puławy. Nasturcja. Toruń. Pomidory. 4. Przestawianka: Redaktor odpowiedzialny.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Gabrjel Wirstnik z Szcz., Czesław Kozłowski z W., „Yoga" z K., Wł. Marko z K. i Piotr Witek z T.

Nagrody wylosow.: Czesł. Kozłowski z W. i Piotr Witek z T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Do nabycia w Administracji „Roli“. — Cena wraz z przesyłką pocztową **2 zł. 75 gr.**

Do nabycia w Administracji „Roli“ również WESOŁY KALENDARZ „Figielki“ Cena zł. 1.40.

Pieniądze na kalendarz nadsyłane przekazami pocztowemi prosimy nadsyłać na konto pocztowe „Roli“: 406.301 z dopiskiem „Na kalendarz“.

Przy łóżku chorego naradza się dwóch lekarzy.

— Zdaniem mojem — mówi jeden z nich — trzeba nam przedewszystkiem usunąć febrę i pragnienie.

— Ach, moi panowie — odzywa się chory — usuńcie tylko febrę, pragnienie już sam zagasić potrafię.



Chłop i lekarz.

Chłop (doktorowi szepcząc do ucha): Jeśli pan doktor moją żonę uleczy — to mu chętnie za to zapłacę 100 złotych, a jeśli ją pan doktor otruje — to też dostanie 100 złotych.

Chłop: Co? — ja panu doktorowi mam zapłacić? A za co? — Czy ją pan doktor uzdrowił?

— Nie!

— A czy ją pan doktor otruł?

— Ach głupstwo!

— No, toż sam pan widzi, za cóż ja mam zapłacić?

Nauczyciel. Co jest początkiem mądrości?

Uczeń. Pieniądze.

Nauczyciel. Kto ci to powiedział?

Uczeń. Ojciec zawsze mówi, że bez pieniędzy nic nie można rozpocząć.



Jaka jest różnica pomiędzy miłością a małżeństwem?

Odpowiedź: W miłości dwa serca biją dla siebie, a w małżeństwie często dwa serca biją siebie nawzajem.



Powód.

— Czy żona pańska miała powód, gdy pana biła?

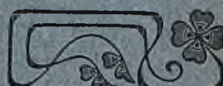
— Powodu nie miała tylko miotłę, proszę pana sędziego.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Wyszła z druku broszurka p. t.
Ze strun duszy,
Z kwiatów polnych,
Z przędzy dymu.
zawierająca utwory poetyckie naszych współpracowników i przyjaciół »Roli« **Ireny Trzaskowskiej** z Łucka **Kachny Łęczynianki i Donata Lesiowskiego.** Cena egzemplarza 45 groszy wraz z przesyłką poczt. Do nabycia w Administracji »Roli«.

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.


Konkurs.


Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli“.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.